Nr. 20. Lwów, Niedziela dnia 21. Stycznia 1877 r. **Tom IV.**



ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XX.

Nowi Oszczercy.

My, Polacy, znienawidzeni przez tych, którzy nas ciemiężą, mieliśmy czas przyzwyczaić się do oszczerstw wszelkiego rodzaju. Czego nam już nie zarzucano, o co nas nie posądzano! Lecz jeżli dawniej gniewały nas oszczerstwa, dziś wzruszamy ramionami, ilekroć nas niemi obrzucają — bo czyż od wrogów możemy się czego lepszego spodziewać?

Inna atoli rzecz być czernionym przez nieprzyjaciół a inna przez własnych braci. Tamtych lekceważymy — ci nas oburzają.

Niestety, takich oszczerców domowych mamy teraz w Galicji.

Każde pismo warszawskie stara się usilnie o to, aby z Galicji otrzymywało stałe doniesienia o tutejszym ruchu politycznym, literackim i naukowym. Bracia nasi za kordonem jęcząc pod despotyzmem od lat tylu, patrzą na Galicję jak na ognisko, z którego powinna strzelić nie jedna iskra ożywcza. Przedstawianie we właściwem świetle, całej naszej działalności, jest przeto świętym obowiązkiem tych korespondentów. Tymczasem rzecz ma się wręcz przeciwnie.

Panowie korespondenci, o których mowa, rekrutujący się niewiadomo z jakiej warstwy, bo żaden z nich nie miał jeszcze odwagi wystąpić z odsłoniętą przyłbicą i podpisać się całem nazwiskiem, jakby na komendę piszą rzeczy niestworzone, oceniając najgorzej ludzi i stosunki, których nie znają. Według nich, w Galicji nie ma nic dobrego — tylko samo złe. Każda książka, którą wydamy jest najgorsza; każde nasze stowarzyszenie nic nie warte; każdy krok polityczny fałszywy, każda myśl zdrożna. Ludność zakordonowa czytając takie relacje nabiera powoli przekonania, że po za Kongresówką nie ma już prowincji, zasługującej chociażby na nazwę prowincji polskiej.

Wiemy bardzo dobrze, że Galicja nie jest wzorem, ale nie mniej i to wiemy, że Polacy za kordonem mogliby się od niej nie jednej rzeczy nauczyć. Kiedy tam panslawizm zaczął w ostatnich czasach niebezpieczne zapuszczać korzenie, u nas dziennikarstwo oparło mu się z całą stanowczością, a wypadki ostatnich miesięcy przekonały wszystkich dostatecznie, że publicyści galicyjscy mieli rację. Wybraliśmy przykład najświeższy, a podobnych mu moglibyśmy przytoczyć pod dostatkiem.

Ale jaki cel mają ci panowie korespondenci, że tak konsekwentnie idą raz obraną drogą? O ile wiemy, piórem ich nie kieruje żadna myśl wyższa, która z podobnem postępowaniem nie mogła by się pogodzić; oni czernią Galicję jedynie przez zemstę, że ich za wielkich nie uznała. Widząc że Galicja nie myśli o zbudowaniu dla nich Panteonu, miotają się na nią z całą namiętnością duchów poziomych, i bawią się w oszczerców myśląc, że tem Polsce prawdziwą oddają usługę.

Dziś, gdy przez obcych rozdarci powinniśmy wszelkich starań dokładać, aby między braćmi żyjącymi w trzech odrębnych dzielnicach, zapanowała zgoda i harmonja; dziś, gdy najświętszy obowiązek nakazuje nam porozumiewać się uczciwie za pośrednictwem prasy, bo tylko ta droga nam pozostała — dziś intruzy nieznający stosunków naszych, wydają sąd o Galicji, potępiając w niej wszystkich i wszystko!

Jeżeli mówicie prawdę, jeżeli sądzicie, że macie prawo bezcześcić kraj, który wedle sił wydobywa się z wiekowego upadku, odsłońcie przyłbicę i wymieńcie wasze nazwiska! Tylko tchórze strzelają z zapłotu, bo to najbezpieczniej.

Czas najwyższy, aby dziennikarstwo warszawskie postarało się o innych sprawozdawców z Galicji, bo dotychczasowi, z bardzo małemi wyjątkami, kompromitują tylko pisma w których swoją żółć wylewają.

Gorzkie te słowa, skreśliliśmy na wyraźne życzenie kilku braci z za kordonu, którzy piszą nam między innemi: „Czy doprawdy nie macie ludzi, którzy by naszą prasę uczciwiej z waszemi stosunkami zapoznawali?“

ŻELIGA.

Powieść
Józefa Ignacego Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Kasztelan niemal zmięszany, po grzecznem przywitaniu, nie wiedząc co począć dalej, chciał się wycofać, czując że wpadł niepotrzebnie na przyjęcie i mógł przyczynić kłopotu. Stał mrugając na stolnika, ale stolnik od bigosu nie miał się ochoty oderwać, a kuternoga nie rad był opuścić zręczności wciąż sobie powtarzając w duchu: A! żeby go zdurzyć potrafiła!

— Ani śmiem ani bym się ważył pana kasztelana prosić na szlachecką i do tego podróżną przekąskę — odezwał się Achinger nabrawszy odwagi od złej myśli, która go opanowała, — ale oto mi stolnik uczynił tę łaskę, że ubogiem śniadaniem nie pogardził, gdybyś j. w. pan...

— Będzie nas tu już za wiele pono niespodziewanych gęb — odparł Żeliga.

— O to się proszę nie troszczyć, to moja rzecz — zawołał Achinger uszczęśliwiony — bigosu wzięliśmy zapas nie zły, a z jajecznicą stanowiącą drugie danie, moja jejmość musi sobie dać radę.

Kasztelan się zawahał, ale szlachcicowi odmówić, nie zasiąść i nie przełamać z nim chleba kawałek, to śmiertelna obraza, tem bardziej że dawna waśń byłaby odmowę uczyniła jeszcze więcej znaczącą.

— Boję się, żeby jejmość dobrodziejka nie gniewała się na mnie — rzekł Żeliga — bo to zawsze cały kłopot przyjęcia spada na gospodynię.

— Ale proszę kasztelana — odezwała się żywo z wdzięcznym uśmiechem pani Achingerowa — ja sobie radę dam, i miło mi będzie że się to na coś przyda; niech p. kasztelan siada... ja wrócę do kominka...

— Zgoda na śniadanie—rzekł Zeliga,—- ale mam jeden warunek moja mościa dobrodziejko, i od tego nie odstąpię.

— O warunki proszę mówić z moim mężem — szepnęła Rózia.

— Warunek ten, że jejmość dobrodziejka siędziesz zaraz z nami, a ja zgotuję jajecznicę sam po węgiersku.

Achinger aż ręce załamał, kasztelan żeby jajecznicę smarzył... o tem jeszcze jak żyw nie słyszał, nie wiedział nawet czy ma wierzyć uszom swoim.

— Ale, panie kasztelanie...

— Nie ma ale, albo mi zaufacie do tyla, że mi oddacie kuchnię, a ręcę że was nie potrzebuję, albo nie siadam do stołu.

— Do węgierskiej jajecznicy — przerwał stolnik — czegoś braknie.

— To moja rzecz — rzekł Żeliga.

— Panie kasztelanie — ośmielając się odezwała piękna pani Achingerowa, chociaż ze wstydu i ze wzruszenia i od ognia stała cała w płomieniach jak wiśnia różowa, — na wszystko zgoda, ale ja w takim razie kuchtą będę, i muszę się choć nauczyć jajecznicy po węgiersku.

Stolnik począł się śmiać, Achinger był uszczęśliwiony.

Już dłużej nie sprzeczając się i przyjmując spółkę pięknej pani, Żeliga rzucił czapkę i futro w kterem wszedł, zatoczył rękawy i klasnął w ręce na progu. Zjawił się żydek faktor, który za nim zawsze w ślad chodził, bo choć nic nie robił, dostawał zawsze coś odczepnego.

— Słuchaj Moszku—zawołał Żeliga — na jednej nodze, ale rozumiesz na jednej nodze biegnij mi do księdza Onufrego do klasztoru i proś go, aby dla mnie przysłał natychmiast tej bryndzy węgierskiej, którą ma odemnie, — no tak sporo, jak na cztery, pięć osób, obwinąć ją czysto i żywo!

Żydek zastrzągł mimo zapowiedzi, że miał iść na jednej nodze, nie zrozumiał bryndzy... musiano mu ją wytłumaczyć, dopiero się ruszył.

Rozmowa najprozaiczniej w świecie poczęła się od jajecznicy i różnych sposobów robienia jej, co należało dodawać, aby była kruchą, jak jej przydać smaku itp. Żeliga rozwinął w tym przedmiocie zadziwiającą erudycję, której pani Achingerowa z poważaniem i podziwieniem nadzwyczajnem słuchała. Achinger bardzo był uszczęśliwiony tem, że jego żona tak bardzo się zajęła kasztelanem a kasztelan nią. Parę razy wmięszał się niefortunnie do rozmowy, ale utknął zaraz i wycofał się aby nie przeszkadzać.

— Nie ma się co dziwować — mówił Żeliga — że ja to znam i wiem; długom się włóczył po świecie sam, bywałem w przygodach różnych, potrzeba było sobie radzić, nieraz zgotować samemu. Zyskało się na tem, że się do wszystkiego zwykło.

Nie będziemy opowiadali jak się węgierska owa jajecznica usmarzyła i zjadła; że była wyborną świadczyło najlepiej to, iż z niej cząstka dla chłopaka nie została, który też rad był skosztować jajecznicy po węgiersku przez senatora zrobionej, bo dotąd innej nad zwykłą z kiełbasą nie jadał. Pani Achingerowa przyznała, że kasztelan prześcigł ją w sztuce kucharskiej, przypiąwszy fartuszek krzątała się koło niego uśmiechnięta, zajęta nim, ciekawa, a nie kryjąc się wcale z jakąś dziecinną dlań sympatją.

Po przekąsce, gawędce, stolnik i Żeliga pożegnali gościnnego Achingera i piękną gosposię. Kuternoga szczęśliwym był, że się przejednał i uspokoił, a może nad niego szczęśliwszą była Rózia, której się kasztelan bardzo a bardzo podobał. Swoboda i grzeczność jego obejścia, niewymuszoność, szczerość, chwyciły ją za serce. Taki wielki pan dla niej prostej chłopki, tak był miłym i serdecznym... tego pojąć nie mogła. Pamiętała, że nie z wszystką drobną szlachtą równie jej było łatwo i swobodnie, i wdzięczną musiała być za to.

— Teraz — rzekł Achinger w drodze do domu spowiadając się przed żoną jak był nie zwykł nigdy — teraz kiedy już spokojny jestem o kasztelana, i do Barcińskich mogę ciebie zawieźć i zbliżyć się do senatora. Ponieważ się przegniewał i urazy nie pamięta, łatwo z nim można zawiązać stosunek... To też Barciński z jego łaski dostał Św. Stanisława, do licha czemuż bym znowu i ja nie miał coś sobie wyrobić, czy tytulik, czy orderzynę? Stare to przysłowie szlacheckie, trzymać się pańskiej klamki, i nie głupie. O to tylko idzie, czem się mu przypodobać i zasłużyć, ale to pomyślawszy się znajdzie. — I dodał parę razy półgłosem: żebyś to ty miała rozum!

Naturalnie jejmość na to nic nie odpowiedziała, była bowiem przywykła słuchać, potakiwać, ale nie wolno jej było odpowiadać, rozumować i pytać. Pomyślała tylko w duchu, że nowi ludzie, to zawsze rozrywka jakaś... a w domu było tak nudno! tak ciężko biednej kobiecie!

Cała wieś jej zazdrościła niesłychanego szczęścia, ale kto by w serce jej zajrzał, podpatrzył łzy ukrywane, odgadł tęsknicę, ten by użalił się nad istotą, która szczęścia na ziemi dotąd nie znała i była milczącą ofiarą.

Długo bardzo kuternodze, mimo jego starożytnej prozapii i wcale nie złego majątku, nie wiodło się w konkurach, gdzie się posunął tylko, częstowano go czarną polewką, lub inny brał mu z pod nosa upatrzoną pannę.

Z latami Achinger coraz pod skromniejsze schodził strzechy, coraz do uboższych zalecał się szlachcianek, tak że ostatnia czynszowego szlachcica była córką; ale i tę mu ekonom ze wsi poblizkiej podchwycił. Naówczas w sercu wzgardzonego zrodziło się pragnienie i powiedział sobie:

— Bierz was licho. ożenię się z chłopką! ale się ożenię.

Rózia była córką wdowy po gospodarzu, we wsi Achingera osiadłym, bardzo majętnym; jedynaczka u matki, pieszczotka ojca, nadzwyczaj ładna, roztropna i żywa, oddawna wpadła była w oko marcowemu kawalerowi, ale jak się tu było odważyć na krok stanowczy, tak niezwyczajny! takiego mający narobić hałasu.

Maciejowa Szyszkowa, matka Rózi, służywała niegdyś we dworze, i jak na wieśniaczkę, była wcale wykształconą, a niezmiernie ambitną. Roiła ona zawsze dla córki los świetny, to jest ekonoma lub pisarza, który z czasem mógł wyjść na dzierżawcę a potem... z Bożą pomocą na dziedzica. Ale to były sny i marzenia; to sobie założyła tylko, że córki za pańszczyźnianego chłopa nie wyda; a strzegła jej i wychowała z nadzwyczajną pilnością. Rózia na krok z domu oddalić się sama nie mogła, nie wolno jej było zająć się robotą, na to były dziewki, byli parobcy najęci. Matka sama nauczyła ją czytać, trochę pisać, tkać w krosnach, szyć czerwone wzory na ręcznikach i śpiewać ładne pieśni ludowe; a że Szyszkowa była herod baba, energiczna, z gębą wyparzoną, śmiała i pracowita, jak postanowiła, tak dokonała wychowania córki.

Bywało, gdy razem w świątecznych strojach, na pół miejskich, świeżych, zręcznych, szły do kościoła z matką, wszyscy się im kłaniali jak paniom. Szyszkowa miała naówczas lat nie więcej czterdziestu kilku, była jeszcze dosyć świeża, figurę miała piękną, włos czarny, wzrost słuszny, wyraz twarzy szlachetny, ale razem groźny nieco. Nie jeden młody parobczak byłby się poswatał do samej pani Maciejowej, w której chacie tylko ptasiego mleka brakło, ale ona jednem spojrzeniem od siebie odganiała, a do córki przystępu nie było.

Kumoszki usłużne nieraz jej dawały do zrozumienia, że mogłaby była jeszcze użyć świata póki służą lata, ale Szyszkowa surowo je karciła.

— Dajcie mi z tem spokój—mawiała— jam już moje na świecie miała i odbyła, moja przyszłość to Rózia... Było mi z nieboszczykiem jak w raju, po co mam piekła szukać. Oj! oj! młody mąż to wielkie nieszczęście dla starej baby... dużo łez ją kosztuje, a więcej w tem grzechu i obrazy Bożej, niż szczęścia.

Stręczyli się wdowce i tych puszczała prędzej jeszcze z kwitkiem i śmiechem, aż gdy ludzie się przekonali, że wcale za mąż iść nie myśli, dali jej spokój. Do córki już, znając matkę, nie tak się kto łatwo kusił; rosła Rózia, patrzali na nią, jak w gwiazdę, ale parobczaki sobie wcześnie powiedzieli, że z nich żaden jej nie weźmie; z daleka tylko wzdychali do niej, a w piosenkach, Rózia świeciła jako ideał wioskowy. Była nim ona w istocie, nawet wówczas jeszcze, kiedy sukienek jedwabnych nie nosiła, prześlicznie jej było z długiemi kosami, w białej jak śnieg koszulce, w koralach i szkaplerzu, w fartuszku wzorzystym i trzewikach, które matka zawsze z miasteczka dla niej sprowadzała. Wyglądała jak przebrana panienka i złośliwi ją pannusią wielmożną przezwali.

Pierwszy co się do niej zgłosił był organista dla syna; sam on poszedł do Maciejowej ubrany jak od święta, rachował na wymowę, na dobre syna wychowanie, na trochę talarów w kuferku, ale gdy Szyszkowej przedłożył swe życzenia, potrzęsła głową.

— Mój jegomość, — rzekła — Rózia młoda jeszcze, to jej tam poczekać nie zawadzi, będzie potem na życie silniejsza, a nieuwłaczając wam, cóż to dla niej za los... zostać organiścina, a na starość może księżą gospodynią. Jużbym wolała gospodarskiego syna, to by choć grunt nie upadł i chudoba.

Organista był wymowny, ale Maciejowa

uparta, spocił się biedak darmo i wyszedł zły narzekając, ale musiał swoją biedę schować do kieszeni, aby się z niego nie śmiano.

Rozeszło się to jednak po wsi i drugich uczyniło ostrożniejszymi.

Maciejowa była rozumną kobietą i stateczną, ale pamiętała, że się na dworze wychowała, że się otarła o szlachtę, że w młodości, jak mówiono, miała nawet wielką wziętość u swego pana i całem jego gospodarstwem trzęsła... została jej na późniejszy wiek ambicja wielka. Córkę wychowała nie na wieśniaczkę pewnie, a gdyby ją los minął, który się zdarzył, nie łatwo by piękne dziewczę cięższej doli podołało. Rózia była żywa, nad wiek i stan roztropna, choć mimo starań matki i otaczającego dostatku od młodości nieszczęśliwa, jak wszystkie istoty wyrwane z właściwej sfery, a nie mogące sobie wynaleźć innej, w którą by się wcieliły. Dziwne uczucie jej towarzyszyło prawie od kolebki, surowo utrzymywana, zamykana, odstręczana od pracy i powszedniego życia Rózia za niem tęskniła. Dla niej największem szczęściem było wyrwać się cicho do siana, na łan, do krówek i owieczek, zastąpić w czem jedną z dziewcząt, podsłuchać ich śpiewu, i nauczyć się go, przez szczelinę popatrzeć na wiejską zabawę, na którą tylko z matką pójść mogła na chwilę. Serce jej się rwało do tej swobody ubogich rówieśnic, które zgrzane, uznojone, w wiankach z bławatków, ze śpiewami na rumianych ustach powracały z pola. Rózia wybiegała przeciw nim, słuchała śmiechów i pieśni, a potem ze łzami zamykała się w komorze. Lecz tego smutku matka nigdy pojąć nie mogła, nie rozumiała tęsknoty dziecięcia. Ile razy się domyśliła tej skłonności w córce, ganiła ją, usiłując przekonać, że i do tego nie była stworzoną; ale im bardziej wysilała się matka na poprawę Rózi, tem ona serdeczniej przywiązywała się do tego, co dla niej miało urok zakazanego owocu...

Za to w ogródku mogła sobie gospodarzyć Rózia jak chciała: siać rutę, hodować barwinki, słoneczniki, astry, lilje, nogietki; mała jednak z tego była pociecha, nie starczyły jej kwiatki, serce uciekało w pole... Nieraz letniego dnia wstawszy od krosien, gdy się robotnicy w polu przypóźnili, a śpiew wracających dochodził ją zdala, stojąc u przełazu zasłuchała się, zadumała aż do płaczu. Ale niech no by broń Boże te łzy zobaczyła Szyszkowa Rózia tak była strzeżoną i bojaźliwą, że się nawet w żadne dziecinne miłostki wdać nie mogła, i uczucie to znane jej było tylko z pieśni i obleczone w ten wdzięk jaki nadaje poezja. Byłaby się może zakochała w jakim chłopcu, gdyby który z nich domyślił się tajemnicy, przez jaką serce jej pozyskać było można; wszyscy zbliżali się do niej z uśmiechem na ustach, dla niej kochanek, jak w pieśni, powinien był być zadumanym i smutnym. Żadnego takiego nie spotkała na szczęście.

Maciejowa nie była w bardzo dobrych ze dworem stosunkach, kuternoga znał ją jako babę śmiałą, wygadaną, rezolutną, a że wszyscy ją we wsi szanowali i obawiali się, on też po troszę musiał jej oszczędzać. Rózi, że była strzeżoną pilnie, prawie nie widział p. Achinger. Dorosła do ośmnastu lat niepostrzeżona, gdy raz powracając z matką z kościoła napotkał. Uderzyła go jej niezwyczajna piękność i szykowność. Pierwsze myśli złe być musiały; ale gdy się dobrze o Maciejowę gumiennego rozpytał, wyrzekł się ich raz na zawsze.

Twarzyczka Rózi go prześladowała ciągle, niepokoił się, walczył z sobą, nareszcie jednego wieczora powracając z pola pod pozorem kubka wody wstąpił do chaty. Wyniosła mu sama pani Szyszkowa ową żądaną wodę i to w szklance na misce na próg, ale tu poczęła się rozmowa gospodarska od słowa do słowa, dziedzic jakoś sam nie wiedząc jak, wszedł do chaty. Nie powstydziła się zamożna wdowa swego mieszkania, rada była pochwalić z niem, wyglądało w istocie całe obwieszone obrazkami, wieńcami, bardzo schludnie i zamożnie. Przy krosnach siedziała Rózia, której kazano pana w rękę pocałować i wyjść do alkierza.

Rozmowa trwała z pół godziny, dziewczę się już więcej nie pokazało. Maciejowa rada była odwidzinom, wygadała się z całym swym rozumem, znajomością świata, dworów, odprowadziła pana za wrota aż, i choć to jej dumę połechtało, żadna jeszcze myśl nie przyszła.

Achinger też się wahał bardzo, lecz po tygodniu namysłu i walki, z postanowieniem stałem zaszedł już wieczorem powtórnie do Maciejowej.

Tknęły ją te drugie pańskie odwidziny. Rózia była w ogródku.

Maciejowa po wiejsku, nie długo czekając, natychmiast wypowiedziała co jej na serce padło.

— Bardzom ja panu wielmożnemu rada, że moją ubogą chatę nawidzić raczycie — odezwała się dworka stara na samym wstępie — ale... ale...

Tu mu się pochyliła do kolan.

— Tyś pan nasz i ojciec, nie rób że nam wstydu i szkody?

— Albo co? — obruszył się pan Achinger.

— Jakże bo wy pomyśleć o tem nie chcecie, że wyście nie starzy, a u mnie dziecko w domu... Ludzie wezmą na języki, choćby nie było za co, i los jej znieważycie...

Achinger siadł za stołem i podparł się na ręku.

— Siadaj no moja Maciejowa — rzekł po chwili — pogadajmy rozumnie.

— Ojcze dobrodzieju, nie ma o czem mówić, — zawołała kobieta — gdyby mi tu król sam przyszedł do dziewczyny się zalecać, to bym mu powiedziała: omyliłeś się najjaśniejszy panie, nie tędy droga przez kościół...

Achinger się trochę pogniewał.

— Zapominasz moja Maciejowa — zawołał — że ja to pan, a gdybym był zły i chciał złego, to czyż nie mam siły...

— Macie ją, macie — zawołała kobieta — ale myślicie, że ja też jej nie mam. — Podparła się w boki. — Jest i Bóg i król i ksiądz nad nami, ja was szanuję, ale bym sobie krzywdy też zrobić nie dała.

— Któż ci u licha powiedział, że ja o tem myślę, — krzyknął dziedzic stukając pięścią o stół. — Jeszcześ nie wysłuchała, a już puściłaś język...

— Darujcie i przebaczcie kobiecie — poczęła Szyszkowa — jam wdowa, jedną mam moją gołąbkę, jedną pociechę, dla niej życie gotowam postradać. Ej! mój panie! byłam ci i ja młodą, bywałam po dworach, żyłam, odpłakałam nie jedno; dał Bóg córkę, wiem jak jej strzedz i czego jej życzyć!

— Moja Maciejowa, dajże mi też choć przemówić:

— Paneczku, gdybyście złotem pluli, na nic się to nie zda. Drugi raz do dwóch tygodni jesteście u mnie w chacie, myślicie to, że już z tego nie uplotą ludzie czarnej przędzy na moją żałobę.

— Siadaj Maciejowa i słuchaj raz jeszcze — odezwał się Achinger.

Stara ruszyła ramionami.

— No, panie wielmożny, chcecie to posłucham, toć ja wasza poddanka, choć i ja za młodu rozkazywałam... — westchnęła.

— Jam ci tu nie myślał wstydu przynieść — rzekł przychodząc do słowa dziedzic, — ale z innym poczciwszym zamiarem. Ot co ci powiem moja Maciejowa, nie jestem już pierwszej młodości, ale jeszczem też nie stary, znudziło mi się życie samopasne; do szlachty nie mam szczęścia, a z poczciwą dziewczyną chciałbym się ta jeszcze ożenić. Cóżbyście powiedzieli, gdybym ja się tak po bożemu na męża do waszej córki swatał... ha?

Jakkolwiek Maciejowa wysoko patrzała, nigdy może oko jej tak znowu daleko nie zaszło, stanęła jak osłupiała, zdało jej się, że się jak mówią przesłyszała.

Achinger widząc milczącą powtórzył.

— No cobyś powiedziała, gdybym ja się z twoją Rózią myślał ożenić?

Stara byłaby mu do nóg padła z radości, tak jej szczęście to zawróciło nagle głowę, ale się jakoś wstrzymała od tej oznaki.

— Ale czyż to być może? — spytała po cichu.

— Ot tak, na złość tej szlachcie paskudnej, chcę się ożenić i ożenię się z chłopką. Córka mi się wasza podobała, jeśli nie ma narzeczonego i kochanka, no, krótko mówiąc Maciejowa, żenię się.

— Już za to przysiądz mogę, że jej w głowie kochanek nie postał, toć to jeszcze dziecko. Chowałam ją jak oka w głowie strzegąc, a komu się to dostanie, ten już musi być z nią szczęśliwy, bo pewnie żadne choćby pańskie i szlachetne dziecko, lepiej być wypieszczone nie mogło! I to mogę powiedzieć, że tyle umie, iż nie powstydzi we dworze siąść, a główka, panie wielmożny, a rozumek! czyta w książce, czyta z pisanego, napisze lepiej niż stary organista. (C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

przez

DR. Z. ROŚCISZEWSKIEGO.

KOMAR.

Ze zdumieniem i niewypowiedzialnym zachwytem przypatrujemy się delikatnym wyrobom rąk ludzkich — podziwiamy misterną robotę gobelinów lub małego jak grochu ziarnko zegarka,

zastanawiając się nad zręcznością rzemieślnika, nad pomysłem artysty, który to wykonał. W tym miniaturowym zegarku te wszystkie kółka i kółeczka, te ich ząbki i wyżłobienia zdają się nam być szczytem zręczności człowieka; na nie patrząc, często nie wyobrażamy sobie, aby coś w delikatniejszych, w więcej miniaturowych kształtach istnieć mogło na świecie tak doskonałe, aby istnieć mogło z celem wypełniania jakiejś czynności, a tem bardziej ruchu. Lecz jakże wielkiem, jak kolosalnem i niezgrabnem przedstawi się nam to kółko, ten ząbek w porównaniu z okiem komara, lub z mięśniem, który porusza jego różkiem lub ssawką, a ten mięsień w porównaniu z takim samym, poruszającym szczeką gąsieniczki komara, wykluwającej się z jaja!

Otóż jeżeli nas zręczne urządzenie wnętrza, choćby najmniej skomplikowanej, byle małej maszynki zajmuje, jeżeli tygrysa drapieżność lub ogon wieloryba nas zdumiewa, o ileż więcej zdumiewać musi wewnętrzna organizacja drobniutkiego jakiego owadu, tego, kto nie świadom jej dotąd, odrazu w tajniki jej zajrzał! Wtedy na pewne z najobojętniejszego najzapamiętalszym staje się badaczem przyrody, wiedząc, iż mądrość jej nigdzie lepiej przedstawić się nie może, jak w małych swych tworach, a nigdzie więcej nie jest lekceważoną przez człowieka, jak w nich właśnie. „Dla badacza też niema nic w naturze — powiedział Pliniusz, coby godnem nie było uwagi", najmniejsza, najdrobniejsza jej cząsteczka jest w stanie wykryć nam całe prawdy nieznane, a mędrcy świata byli przyrodnikami. Z przyrody czerpali mądrość prawodawcy i poeci starożytnych: Salomon, Mojżesz, Homer, Wirgiljusz, a późniejsi mędrcy byli także przyrodnikami: Kopernik, Newton, Leibnitz, Spinoza, Cuvier i Lyel tylko znając przyrodę, światu tak ogromną przynieśli korzyść.

Dziś zaprawdę świat stoi na fałszywych poglądach, a przynajmniej ogół w nie wierzy. Bismarkowska zasada siły wszędzie ma swe zastosowanie, poniekąd nawet i w nauce.

Wielki, potężny i silny naród jest dziś celem dociekań i studjów; mały, bezsilny nie zasługuje na to, aby świat miał nim się zajmować. Oceany i morza sondowane w swych głębiach, a nie chcemy poświęcić czasu na zbadanie dna płytkich rzek naszych. Studja nad życiem, obyczajami zwierząt wielkich jak słoni, narwali, nosorożców i. t. p, ulubionem są zajęciem dzisiejszej młodzieży, a natrętny komar, lub mucha pokojowa, mól, co odzienie i meble im niszczy, za małe są i za słabe, aby ciekawość w nich wzbudzić.

Ta niewolnicza cześć i uwielbienie wielkości w studjach, jest zdaniem naszem przyczyną złego pojmowania przez ogół zasadniczych praw przyrody. Ona nie zna małych i wielkich, słabych i mocnych, wszystkie swe twory jednakowo szczodrze obdarzyła, i często to, co pozornie bezsilnem i małem stworzeniem się przedstawia, w rzeczywistości ogromnych dopiąć umie celów.

Weźmy za przykład jednego z tej chmury *komarów*, która w letni wieczór po nad wodą bujając wesoło, wśród promieni zachodzącego słońca natrętnie przechodnia zaczepia, albo tę mu pokrewną małą *ochotkę* (chironomus) lub także pokrewną a sławną *muszkę kolumbatzką*, która w okolicach Temeswaru tak wielkie w ubiegłym roku wyrządziła szkody w dobytku tamecznych mieszkańców, lub mniejszą jeszcze a znaną wszystkim dobrze natrętną *meszkę* (simulium) zwaną inaczej *mustykiem*, które szczególnie w Ameryce połudn. pod nazwą *mosquitosów* istną są plagą dla ludzi i zwierząt.

Owady te znane są ogólnie, jeżeli nie wszystkie z zewnętrznych cech swoich, to wszystkie przynajmniej ze słyszenia, a niektóre i dziecko zna małe z wyglądu np. *komara zwyczajnego* (culex pipiens. Linn), t. j. zna go o tyle, że brzęczenie jego jest mu nie obcem, że ukąszenie jego bolesny ból sprawia i. t. p. Czy jednak ci, co już tysiące razy pokąsami byli przez mały ten owad, wiedzą, czem właściwie sprawiał on im to uczucie swędzenia, czy znają jego rozwój i sposób życia i. t. p. choć nań od dzieciństwa bez przerwy patrzą? Na pytanie to bez przesady rzec można, że na stu wykształconych czytelników „Tygodnia" dziesięciu zaledwie potakującą dałoby odpowiedź. Dla nieznającego rozwoju komara, stworzenie to nader jest fantastycznem; — z gąsieniczki jego, z kształtów jej ciała, z miejsca pobytu nie domyślił by się on, co ma przed sobą.

Samiczka komara jaja swe składa do wód stojących, a składa ich jedna aż 300 - 500. Podłużnego kształtu, około trzech linij długie i na jednę linję szerokie, ściśle lepkim kitem z sobą połączone te jajeczka, stanowią jakby małe czółenko, pływające po wodzie, w które usiadłszy matka, i na krzyż swe tylne ułożywszy nóżki, składa w nie resztę swych jaj. Każde jajeczko opatrzone w dolnej swej części klapką, jakby furtką dla rozwijającego się w niej czerwia. Po dwóch dniach z gniazda tego cały rój młodych gąsieniczek czyli czerwiów się wylęga. Każda z nich większa o całą linję od swej macierzy, zaraz po urodzeniu zwinna i ruchliwa, puszcza się na żer swobodnie. Fantastycznie przystrojona po bokach całego ciała w przeróżnego rodzaju pióropusze, które jej za wiosła służą, nie może długo pod wodą bez powietrza zostawać — chcąc oddychać, w szybkich ewolucjach dąży ku górze, do powietrza, a ślizgając się po gładkiej powierzchni wody, jak okręt banderę swą tak ona ogonek wystawia, i nim cały organizm zaopatruje w świeży zasób powietrza. W tylnym bowiem wałkowatym końcu jej ciała, w kształcie długiej jej rurki również na końcu w pióropusz ubranej, główna znajduje się jej dychawka. Niekiedy na wiosnę na powierzchni wody stojącej miljony czarnych tych czerwiów już z dala dojrzysz — lecz za najmniejszym powiewem wiatru, za zbliżeniem się do nich. wnet nurka dają, kryjąc się bezpiecznie w wodzie przed napastnikiem. Chcąc przyjrzeć im się bliżej, najlepiej w lecie zaczerpnąć wody z pierwszej lepszej kałuży, a napewno mnóstwo jajek komara i jego czerwia w niej spostrzeżemy, W słoju na słońcu trzymana przez czas dłuższy taka woda, nietylko że może dać obraz rozwoju komara, lecz ciekawe oko w lupę uzbrojone, tysiące odkryje w niej tworów, jak raczków, owadów, wymoczków, wodorostów, pozna ich życie, rozwój i w ogóle zapozna się z drobnymi mieszkańcami wód stojących, którzy nie mniej ciekawemi są okazami dla badacza, jak rekin, żółw, lub inne wielkie ustroje wód oceanu.

Płynąca po wodzie gąsienica komara, okrągłą swą głowę, jak już powiedziano, na dół opuszcza a wielkiemi orzęsionemi szczękami, których ma parę, jak nożycami ciągle porusza, chcąc niemi stosowne uchwycić pożywienie. Dwa różki a raczej czułki i para pojedyńczych nie złożonych oczu są, zdaje się, wraz z wspomnianemi rzęsami jedynemi organami jej zmysłów. Odwłok jej na dziesięć podzielony dzwon, z którego dychawka wychodzi — po bokach piersi szerokiej puszyste rzęsy, a całe ciało w obcisłą ubrane sukienkę, którą zalotna kobietka gąsienica po cztery kroć z siebie zrzuca, zanim rozwinie się na dojrzałą poczwarkę.

Ciekawy zaprawdę jest moment, gdy z gąsienicy nagle widzimy przed sobą odmienne, choć podobne stworzenie, nimfę czyli poczwarkę. Metamorfoza ta zasadza się na zrzuceniu z siebie przez gąsienicę dziecinnej swej sukienki. Lecz lenienie to, to zrzucanie wierzchniej odzieży musi być poprzedzonem jakiemś przygotowaniem — naprzód pęka sukienka na głowie, szyi i dwóch pierwszych dzwonach, a wtedy przez otwór tym sposobem powstały, wychodzi jakby z powicia zwierzę, lecz znów w podobnej do poprzedniej osłonie. Po trzech niedzielach dopiero, po raz już czwarty wydostając się z przezroczej swej skorupki, nagle wychodzi inną jak była — na grzbiecie dwie mniejsze ma rurki do oddychania, nie zaś jednego z boku odwłoka jak dawniej — przeobraziła się w poczwarkę.

Nimfa czyli poczwarka komara już tylko na powierzchni wód pływa, zanurzyć się może, lecz trudno jej to przychodzi uczynić za pomocą ogonka. Jeść nie może, to też wypociwszy się aż tydzień cały, rozdziera między dychawkami sukienkę swą na plecach (na wierzchu odwłoka), podnosi się na uwięzionych w skorupce tylnych swych łapkach, i tak stojąc, jakby chciała przejrzeć się po świecie i postanowić, jaki zrobić użytek z odzyskanej tak łatwo swobody, obsycha, a po niejakimś czasie namyśliwszy się, uderza skrzydełkami poraz pierwszy w powietrze, probuje wzlecieć a sprobowawszy, żegna żywioł, który ją dotąd nosił, i chatkę swą rodzinną. Tak niesiona na skrzydłach, puszcza się na zwiady w nowy dla siebie świat, z którego do wody, jeżeli samiczka, powraca z czasem, by złożyć dług wdzięczności za wyniańczenie — złożyć własne swe dzieci a raczej jaja.

Z czarnej została brunatną. Na odwrotnej tarczy grzbietowej duże podłużne brunatnej barwy linijki, ciemno brunatny odwłok w ośm białych lub popielatych ubrany obrączek, nogi długie jasno brunatne, których dotąd wcale nie miała, wzrost mniejszy, bo nie przenoszący 2 i $^1/_2$ do 3 linij, trąbka w kształcie skórzanej długiej stosunkowo rurki, która dwiema zakończona wargami, przedstawia na pozór jakby małe nabrzmienie, a wychodzący z niej przyrząd z pięciu złożonych jest włosków, i razem z trąbką do ssania i kłucia służy. Każdy z tych włosków zakończony ząbkiem, gdy je komar w ciało upatrzonej ofiary zagłębi, a nagle przeszkodzi mu się dokończyć krwawej tej uczty, włoski się łamią a utkwione haczyki czyli ząbki, lub z nich jeden tylko, jako trofea nam pozostają, lecz za to i ból większy, — gdybyśmy nie przeszkodzili chciwemu krwi naszej małemu łupieżcy nasycić się do woli, gdybyśmy nie żałowali tej krwi kropelki, mógłby się żaden nie załamać włosek, a ból przeszedłby wkrótce jak po ukłuciu, z tą różnicą, że trochę jadu, który zapuszcza owad do ranki celem większego zgromadzenia krwi, za nim by zupełnie w krwi ofiary się rozszedł, sprawiał by małe zaognienie miejscowe, które jednak wnet bez śladu by ustąpiło.

Skrzydła komarów długie a wąskie podczas spoczynku płasko zwykle złożone, w około obwiedzione żyłką ramienną, a kilką wydatnemi poprzerzynane i pokryte łuseczką, i różki z 14 członków smukłych a u samców parzysto ozdobionych

złożone, u samic zaś w krąg uwłosionych, barwy są ciemno-brunatnej i czołki pięcio członkowe u samiczki krótkie a u samca dłuższe od trąbki; oczy w kształcie pół księżyca ciemno-zielonej barwy nie mają przyoczków.

Te kilka szkiców z rozwoju komara zawdzięczamy pracom Reaumura, Degeera i innych, a tyczą się one *komara zwycz.* (culex pipiens. Linn), który w wilgotnych miejscowościach tak często natrętności swej bolesne pozostawia nam ślady. Ze śladów tych jednak tylko płeć piękna komarzego rodu robi nam pamiątkę — brzydka nie jest tak żarłoczną.

Jak straszną plagą tak dla ludzi jak zwierząt mogą być te krwiożercze owady, przekonywamy się z mnóstwa opisów, które przodkowie pozostawili. W Londynie w 1736 r, w tak wielkiej liczbie, nagromadziły się one w pobliżu jednego z kościołów, iż mieszkańcy okoliczni z przestrachem wyczekiwali wybuchu płomienia, mając tę chmurę komarów za dym. Toż samo stało się na Szląsku w Saganie w 1812 roku miesiąca lipca i w maju następnego roku, kiedy o szóstej godzinie wieczór komary wystraszyły do tego stopnia mieszkańców, iż uderzono w mieście we dzwony na pożar. W Oxford w 1766 r. w sierpniu komary zaciemniły zupełnie słońce. Lecz nietylko u nas w umiarkowanym klimacie lecz i w zimnym, bo w północnej Syberji, z obawy przed komarami mieszkańcy w ciągu krótkiego lata na twarz przywdziewać muszą z jak najgęstszej siatki maski — inaczej z wycieczek powracaliby z niedo poznania opuchniętą twarzą. Wprawdzie nie są to te same komary, lecz raczej *meszki* (ochotki Chironomidae, Zuckmücken), których odmiana i w naszym klimacie jest znana a mianowicie w Banacie, gdzie w zeszłym roku tysiące pod ich ciosami padło bydła i koni. Wszystkie drogi prowadzące do Temeswaru nadzwyczaj smutny przedstawiały wówczas widok; tak one jak przy nich leżące pastwiska pokryte były ciałami martwemi, lub w konwulsjach umierających zwierząt — a spustoszenia te sprawiła muszka *kolumbatzka.*

Franciszek Karpiński i jego poezja.

napisał

Józef Tretiak.

(*Ciąg dalszy*).

Po roku spędzonym na wsi (1784) zachciało się Karpińskiemu znów pojechać do Warszawy. Powiada on, że go ciągnęło to życie warszawskie, którego zakosztował, jak ciągnie wódka pijaka. Pojechał. Odwidził najprzód Czartoryskiego i był bardzo zimno przyjęty. „Powrót z Warszawy“ znany już był nie tylko księciu, ale całej Warszawie, wydrukował go bowiem Magazyn warszawski w r. 1784, i książę czuł się dotkniętym. W kilka dni po przyjeździe Karpińskiego do Warszawy, zaprosił go król na objad. „Cóż ci to Warszawa zrobiła, żeś ją tak w wierszach swoich opisał?“ zapytał go witając. „Właśnie to samo, że nic nie zrobiła“ odpowiedział Karpiński.

Podczas tej drugiej bytności w Warszawie poznał się nasz poeta z panią Krakowską, siostrą króla Stanisława. Była to niegdyś piękna, dziś już nie młoda kobieta, bo jeszcze 1749 wydaną była za mąż za o wiele starszego od siebie Jana Klemensa Branickiego*). Pani Branicka bardzo dlań była uprzejmą i prosiła go, aby stale bywał u niej na objadach trzy razy na tydzień. Bywał na tych objadach i król, więc Karpiński znów się zaczął łudzić nadzieją, że król pomyśli o zapewnieniu jego losu. Kiedy tak się łudził, miał już lat przeszło 43. Pani Krakowska wyjeżdżała na trzy letnie miesiące do Białego Stoku, który do niej należał, i zapraszała tam do siebie poetę. Jeździł do niej Karpiński na letnie miesiące przez cztery lata i z największemi zawsze był przyjmowany grzecznościami. Zdaje się, że pani Branicka szczerze polubiła poetę, który znów, widząc w niej prawdziwą życzliwość, dawał się jej zupełnie powodować, tak że nie gniewał się, gdy go pewnego razu siłą powstrzymała od małżeństwa z jakąś wdową, w którem to małżeństwie upatrywała nieszczęście dla poety. Ale Karpiński wdzięczny za honory, grzeczność i życzliwość, widział, że to wszystko dobre i przyjemne, ale nie da mu kawałka chleba na starość, która się już zbliżała. Nie wymagał już poeta wielkich rzeczy, nie roił o świetnem stanowisku, chciał tylko mieć ciepły kąt własny. Pani Branicka obiecywała mu ciągle puścić w dzierżawę, zapewne na korzystnych warunkach, pewne dobra swoje koło Białego Stoku, ale z obietnic coś nie było rzeczy. Pewnego lata przyjechał był do pani Branickiej Marcin Badeni, szambelan i generalny zarządca dóbr królewskich. Był to człowiek, który dzięki gospodarskiemu rozumowi i szczęśliwym okolicznościom z drobnego majątku dorobił się wielkiej fortuny. Nie posiadał żadnego wykształcenia współczesnego, nie mówił po francusku, ale miał trafny sąd, wrodzony dowcip i ujmujący sposób obchodzenia się z ludźmi**). Od razu poczuł wielką sympatję do Karpińskiego, i we dwa dni po przyjeździe wziąwszy go na stronę zapytał, po co przyjeżdża co roku do pani Krakowskiej? Odpowiedział Karpiński, że mu ta pani obiecuje wypuścić pewne dobra, i to go najwięcej zatrzymuje przy niej, a Badeni na to: „Pany o sobie tylko myślą, a waćpan myśl także o sobie; teraz puszczają się na licytację klucze dóbr ekonomicznych, waćpan wybierz sobie w Grodzieńskiem klucz którykolwiek, a bez żadnej licytacji, tanim a zyskownym kontraktem będzie mu puszczony.“ Karpiński, który tak długo daremnie szukał dobrodzieja, znajdując go teraz tak nagle w osobie człowieka, od którego się nic nie spodziewał, tem większą uczuł dlań wdzięczność i naturalnie przyjął korzystną propozycję. Badeni pokazał mu regestr kluczów królewskich w Grodzieńskiem i doradził wybrać klucz Suchodolinę. Uczynił tak Karpiński i zawarł kontrakt sześcioletni. Mając już Suchodolinę, pojechał do Galicji. Pożegnał się tam z rodziną i przyjaciółmi, darował bibljotekę swoją siostrze, a wymówiwszy dzierżawę, którą tam dotychczas w nieobecności jego zarządzał siostrzan, rozstał się na zawsze z owemi stronami, i powrócił w Grodzieńskie do nowej dzierżawy, która przynosiła większe dochody od galicyjskiej, a co najważniejsza, nie była kordonem oddzieloną od stolicy.

Był to rok 1788. Duch reformy politycznej i społecznej ogarniał wszystkich. Kto tylko interesował się losem ojczyzny, a władał jako tako piórem, spieszył z radą, programem lub wskazówką. I Karpiński, jakkolwiek bynajmniej do polityki nie stworzony, nie pozostał niemym w tym chórze, wołającym o reformę, i na te czasy przypada kilka pism jego treści politycznej i społecznej. Na pół roku jeszcze przed sejmem 3go maja napisał bezimiennie list do czterech panów, mających największy wpływ i znaczenie w kraju: Małachowskiego, Czartoryskiego, Karola Radziwiłła i Szczęsnego Potockiego. W tych listach jednakowo brzmiących*) potępiał elekcję, jako główną przyczynę zaburzeń i upadku Polski i wzywał, aby tron ogłoszono dziedzicznym; ażeby zaś pozyskać Polsce silnego sprzymierzeńca, któryby jej dawne wrócił granice, proponował, aby następcą bezdzietnego Stanisława Augusta ogłosić króla pruskiego Wilhelma. Nie był to zapewne oryginalny pomysł naszego poety, wiemy przynajmniej, że były inne głosy polecające tę kandydaturę**). Bądź co bądź, listy te, napisane z gorącem uczuciem szczerego patrjoty, może nie pozostały bez jakiego drobnego wpływu; przynajmniej Karpiński, który starał się dowiedzieć, jak były przyjęte, powiada, że wojewoda wileński bardzo żywo przyjął list do niego pisany.

W tych czasach największego ruchu reformatorskiego wydał Karpiński także bezimiennie, ale już w druku broszurę polityczną, zalecającą dziedziczność tronu. Jednocześnie napisał swoją rozprawę „O rzeczypospolitej, czyli o szczęściu człowieka w towarzystwie“ w formie listu do Szczęsnego Potockiego, który miany był wówczas za najgorętszego patrjotę. W rozprawie tej przebiega poeta różne dziedziny życia publicznego, i podaje nieraz trafne rady, jakkolwiek po większej części nie wychodzi z ogólników. Szczególną uwagę zwraca na wychowanie młodzieży, jako na główną podstawę odrodzenia narodu; znać tu wpływ Russa, ale są i praktyczne spostrzeżenia człowieka, który się sam dotykał do współczesnego wychowania młodzieży. Nie trzeba mięszać z tą rozprawą innej rozprawy Karpińskiego, noszącej podobny tytuł: „O szczęściu człowieka.“ Ta ostatnia nie ma bynajmniej politycznego charakteru, i stara się tylko dowieść, że ze wszystkich skarbów człowieka w życiu indywidualnem największym skarbem jest miłość. Jest w środku tej rozprawy, którąby można nazwać sielankową, prześliczny wierszyk miłosny, opisujący pierwsze poruszenia się kochanków***).

Podczas ogłoszenia konstytucji 3go maja był Karpiński w Warszawie, własnemi oczami patrzał na wielki akt dźwigającego się narodu

*) Roepell. Polen um die Mitte des 18 Jahrhunderts str. 60 i 90.

**) Koźmian. Pamiętniki. Tom II. Rozdział o Badenim.

*) Pam. str. 203. Listy te podług Korniłowicza (str. 23) miały nosić tytuł: „Projekt czyli uwagi, co jest lepsze dla Polski: czy następstwo, czy też wybór królów.“

**) R. Pilat. O literaturze politycznej sejmu czteroletniego. Str. 154.

***) Bartoszewicz niechętny na każdem miejscu dla Karpińskiego, pisze w swojej historji literatury (str. 433): „Wdawał się (Karpiński) i w teorje filozoficzne np. pisał: O szczęściu człowieka i o rzeczypospolitej do Szczęsnego Potockiego. Dwie te rozprawy stanowią jedną całość, autor chciał mówić o szczęściu człowieka w towarzystwie, ale skończył na samych czułościach.“ Z tych słów możnaby wnioskować, że i Bartoszewicz pomięszał te dwie rozprawy z sobą; bo naprzód nie stanowią one jednej całości, a powtóre jeżeli są tam czułości, to tylko w tej rozprawie, która nosi tytuł „O szczęściu człowieka,“ nie zaś tej, która ma zadanie przedstawić szczęście człowieka w towarzystwie. Ta ostatnia zresztą ma przeważnie charakter polityczny a nie filozoficzny.

i tym widokiem przejęty napisał wiersz na ogłoszenie konstytucji. Radość była wówczas we wszystkich sercach, jakieś dziwne uczucie miłości braterskiej i zgody powiało po całym kraju, i naród poczuł się silniejszym, gdy go zawiść i niezgoda wewnętrzna na chwilę szarpać przestały. Dotychczas większość narodu z rozmaitych pobudek nie sprzyjała królowi, najbardziej zaś dla tego, że widziała w nim sługę Rossji; teraz gdy król przystępował do pracy patrjotycznej i zrywał z Rossją, jedno tylko hasło rozbrzmiewało po całym kraju i wszystkie serca napełniało dobrą nadzieją: „Król z narodem, naród z królem.“ Wiersz Karpińskiego streszcza w sobie uczucia, które grały wówczas w sercach i zapał, który wszystkich ożywiał, a owo hasło: „Król z narodem, naród z królem“ powtarza się w wierszu Karpińskiego jako przyśpiewka (refrain) w następujących słowach:

Jakże ten król nasz bogaty!
Skarb jego serc miljony!

Wolelibyśmy, żeby nasz poeta w tych czasach ogólnego zespolenia sił w celu dobra publicznego mniej się zajmował swoją osobą. Ale niestety, nałóg silniejszym był od uczucia patrjotycznego, które w nim przecież głęboko tkwiło. Karpiński który przez tyle lat spodziewał się coś dostać od króla i uważał to wsparcie królewskie za rzecz niejako z prawa mu się należącą, nie mógł się ostatecznie rozstać z tą nadzieją, a raczej z tem złudzeniem, i teraz mając sposobność częstego widywania się z królem, przypomniał mu pewnego razu swój stan ubogi. Król zbył go pochlebstwem: „Honor wpan robisz panowaniu mojemu, że wtenczas żyjesz, kiedy ja na tronie,“ ale dość było tych kilku pochlebnych słówek, aby wzniecić w Karpińskim wszystkie przygasłe nadzieje świetnego i szybkiego polepszenia losu. Ztąd i gospodarstwu na dzierżawie, którą sam przecież uznawał za korzystną, nie oddawał się z wielką ochotą; trzymał się jej tylko tymczasowo, oczekując na ziszczenie się niewyraźnych obietnic królewskich. Po dwóch latach daremnego wyczekiwania (1790) znowu się przypomniał królowi, a król znowu dał ogólnikową odprawę poecie, mówiąc, by go nie krzywdził przypominaniem się, ponieważ on, król, i bez tego myśli o jego losie. I w istocie w jakiś czas potem dowiódł Karpińskiemu, że pamiętał o nim, ale to, co mu ofiarował, było bardzo dalekiem od tego, co roił poeta i czego oczekiwał od króla. Ofiarował mu mianowicie miejsce nauczyciela (w r. 1791*) i wychowawcy przy małoletnim księciu Dominiku Radziwille, ordynacie nieświezkim i ołyckim, zostającym pod opieką księcia Macieja Radziwiłła, kasztelana wileńskiego. Nauczyciel miał mieć pensję od opiekuna 1.000 dukatów, a od matki ucznia 500, a po 10 latach miał dostać folwark w dożywocie. Pamiętając dobrze niewolę, jakiej doznawał przy małym Sanguszce, wymawiał się Karpiński wszelkiemi sposobami od tej łaski królewskiej, ale król i opiekun nacierali na niego i on, łudząc się nadzieją, że może tym razem niewola będzie mniej dolegliwą, ustąpił. W dzień przyjazdu do Zabłudowa, gdzie mieszkała matka małoletniego ordynata, miał już Karpiński sposobność dać lekcję moralności swemu uczniowi, lekcję, która wielki zaszczyt przynosi nauczycielowi**). Ale nauki i dobry przykład Karpińskiego nie mogły należytego wpływu wywierać na ucznia z przyczyny złych przykładów, jakie widział w domu, a głównie z przyczyny matki, która od razu chłodno przyjęła nauczyciela, a potem ciągle krępowała jego kroki. Strasznie nudno i nieznośnie było Karpińskiemu w Zabłudowie. Starał się namówić księżnę, aby się przeniosła na mieszkanie do Warszawy, gdzieby nasz poeta przynajmniej obcowaniem z ludźmi światłymi i przyjaznymi mógł sobie od czasu do czasu słodzić gorzką niewolę. Ale księżna dała się namówić tylko na dwutygodniowy pobyt w Warszawie, po którym powróciła do Zabłudowa. Karpińskiemu tak zbrzydło nauczycielstwo w domu księżnej, że nie mógł tam wytrzymać dłużej roku. Nie chciano mu zapłacić należytości, zapewne dla tego, że zobowiązał się był na lat dziesięć, i dopiero po kilkunastu latach Dominik, doszedłszy pełnoletności wypłacił mu 1.000 dukatów, pięciuset zaś, owych przyrzeczonych od matki, nie dostał Karpiński nigdy.

(C. d. n)

*) Karpiński rok był w Zabłudowie, a rozstał się z księżną pod koniec 1792. Pam. str. 212 i 213.
**) Pam. str. 210.

WYSTRZAŁ W OKO.

Nowella.

Napisał
JAN STELLA SAWICKI.

Wiele bardzo błędnych wiadomości posiadamy o Syberji, a szczególnie o jej klimacie i całej przyrodzie. Klimat nietylko południowej lecz nawet środkowej Syberji jest znośny i zdrowy. Wprawdzie zimą mróz dochodzi nieraz 40° R, lecz mróz ten nie jest tak przykry, bo suchość i cisza powietrza niewypowiedzialnie łagodzą zimną temperaturę. Wiatr w zimie jest bardzo rzadki, lecz gdy się przyłączy do zimna, wówczas wyjść nie można z pomieszkania z obawy odmrożenia twarzy lub członków. Najprzykrzejszą jest długość zimy, która trwa siedm lub ośm miesięcy. Najkrótszy dzień zimowy w południowej i środkowej Syberji trwa siedem a nawet sześć godzin.

Wiosny i jesieni w naszem pojęciu słowa — niema w Syberji. Wiosną nazywają się te kilkanaście dni, w których tają śniegi i rozpuszczają rzeki. Zaledwie tylko stopnieją lody, już się trawka zieleni i następuje ciepło 20 — 30° R. Ztąd też roślinność jest nadzwyczajnie bujna, łąki i lasy okryte zielenią i cudnemi pięknych kwiatów barwami. Na samym południu Syberji, w Daurji, letniej nocy zaledwie dwie godziny; w środkowej zaś niema nocy wcale, bo niepodobna nocą nazwać ową krótką chwilę, gdy słońce skryje się za góry, pozostawiając tyle jeszcze światła, że o 12 godzinie można zawsze czytać i pisać. Letnia noc w Syberji sprawia urok nie do opisania, i prawdziwie czaruje swoją pięknością.

Wśród lata często bywają zmiany temperatury. Z rana upał i prawdziwy skwar nie pozwala wyjść z domu, w tem następuje zimny, północny, przeszywający wiatr, zmuszający przywdziać futro. W końcu września lub na początku października nagle chłodnieje powietrze, i następuje kilka dni bardzo zimnych, po których pada śnieg dzień i noc trzy lub cztery dni z rzędu, a następnie ustala się zima.

W ciągu zimy śnieg pada bardzo rzadko, a latem deszczu nigdy prawie nie bywa. Deszcz pada tylko na wiosnę i w czasie kilkudniowej jesieni.

Roślinność Syberji prawdziwie dziewicza i niezmiernie bujna, szczególnie południowe prowincje są krajem kwiatów. Lesiste rzek brzegi i lasy zdobne dzikiemi różami, liljami wodnemi, fjołkami i bratkami, a łąki całe cudnie zasłane woniejącemi najrozmaitszych farb kwiatami. W ogóle roślinność sybirska, wonnością, bujnością i pełnią życia przewyższa roślinność naszego kraju. Na prawo i na lewo od drogi, po której jedziecie, całe łany to amarantowe, to zielone, białe, różowe, niebieskie i żółte, a w pośród nich olbrzymie kląby foremne i kształtne, okrągłe lub piramidalne stoją wspaniale w odległości niewielkiej, jak w najcudniejszym parku angielskim.

Po równinach całe łany piołunu, kminku i kopru silnym zapachem napełniają powietrze, zresztą co chwila inny coraz przyjemniejszy zapach drażni zmysł powonienia.

Syberja dotąd nie posiada drzew owocowych, natomiast jagód, osobliwie malin, bruśnic, borówek, porzeczek białych i czerwonych i poziomek obfitość nadzwyczajna.

Sybirskie tajgi, lasy i bory nieprzejrzane, nieprzebyte, dziewicze, bo często nietknięte toporem ani stopą ludzką, mieszczą w swem łonie drzewa masztowe olbrzymiej wielkości. Im więcej na północ, tem więcej brzeziny; w środkowej i południowej Syberji są topole, wierzby, sosny, świerki, smereki, modrzewie i olbrzymie cedry. Z jednego cedru zbierają nieraz po kilkanaścia centnarów orzechów. Dereń i czeremcha pokrywają wszystkie nisko położone wybrzeża jezior i rzek. Paprocie są po trzykroć wyższe jak u nas. W latach niezliczona i nieprzebrana masa najrozmaitszych grzybów.

Na grubszego zwierza myśliwi zapuszczają się często od 50—100 wiorst w głąb tajgi. Trafia się jednak często, że niedźwiedź tuż pod wsią dusi konia lub krowę, a czasem rozedrze człowieka, często też uciekając przed komarami i muszkami, okropnie zjadliwemi w Syberji, włazi do jeziora lub rzeki, albo chroni się we wsi i nocuje na ulicy, nie zwracając żadnej uwagi na szczekanie psów, a nieraz w gniewie burzy małe tatarskie domki, niszczy i łamie wszystko co się tam znajduje. Oprócz niedźwiedzi w lasach sybirskich mnóstwo wilków, lisów zwyczajnych, czarnych i niebieskich, soboli, wiewiórek popielatych czerwonych i czarnych, mnóstwo gronostai, małych burunduków, tchórzów, rysi, bobrów, łosi, sarn, białych zajęcy i świstaków.

W jeziorach i rzekach niema raków i żab, lecz za to ryb jest niezmierna ilość, przedewszystkiem jesiotrów, sterletów, nalimów, karasi i szczupaków. W ptactwo także obfituje Sybir. Obok drapieżnych orłów i jastrzębi, mnóstwo mew, kaczek, ceranek, łysek, gęsi, żórawi, łabędzi i czapli. Niema jednak słowika i bociana.

W obec nadzwyczajnej wegetacji i bujnej roślinności gospodarstwo rolne w Syberji stoi na niskim stopniu rozwoju. Mimo tego pięknie rodzi się żyto, pszenica, owies, hreczka, proso, konopie, len, kapusta, olbrzymia marchew, ziemniaki, ogromna rzepa, buraki, czosnek, a w polu dojrzewają kawony i melony w tak wielkiej liczbie, że sprzedają je za bezcen. Polacy sprowadzili kalafiory, szparagi, pietruszki, salery i jarmuż.

Lecz nad tym krajem, ogromnym i bogatym, w którym miljony ludzi znalazłyby dobrobyt, wisi przekleństwo Boga za łzy i cierpienia, których doznali ludzie od ludzi, bo zabór i chciwość sprowadziła tu zdobywców, a niewola kraj zaludniła. Dla tego też spotkacie tu wsie, gdzie rolnik nie

jest wolny, cerkiew, gdzie się modlą za despotów, żołnierzy, którzy ich bronią i deportowanych, którzy noszą kajdany i jękami tylko dają znak życia. Jęki, tęskne westchnienia i bole wygnańców są najpoetyczniejszym dźwiękiem tej ziemi

Do tego kraju wprowadzę cię czytelniku, bo tam się odbył krwawy dramat, który opisuję.

Pod miastem Czytą, stolicą zabalkajskiej krainy, płynie rzeka Ingoda, ścieśniona urwistemi skałami czarnego granitu. Na błoniu doliny, poprzerzynanej krętem korytem rzeki, rosną gaje czeremchy, krzaki spirei plączą się z głogiem, a brzoza wyrasta obok modrzewia. Groszki, różowe powoje, gwoździki, krwawniki i dzwonki farbują łąki i pagórki, napełniając powietrze cudowną wonią. Tu i owdzie pasące się stada bydła słuchają dzikiej pieśni buziackiego pastucha. Dwa pasma gór osłonięte błękitną mgłą upału, porosłe modrzewiem i cedrami syberyjskiemi trzymającemi się wierzchołków, jak dwa wały zamykają dolinę ciągnącą się daleko na północ.

Droga z Czyty do Nerczyńska pnąc się na górę rozwija coraz to nowe wdzięki przyrody tak cudownej na początku lata. Na górach chwieją się nieprzejrzane bory sosnowe, pokrywające szczyty; wąwozy i doliny głęboko wpadły między góry, a w nich oprócz zwierząt i niezliczonej ilości nieznośnych owadów, niema innych mieszkańców.

W jednej z tych dolin, o dwie godziny drogi od Czyty położonej, modrzewie i sosny ciemnym płaszczem pokryły góry i dno jej; tu i owdzie z gęstych zarośli skały groźnie wyglądały, usypiska zaś skalne porosły rododendronem, głogiem, chwastami i rozlicznemi krzewami, których gałęzie plącąc się wiązały nad roztrącającym się o kamienie strumykiem, biegącym ku Ingodzie. Przy wejściu do doliny mrówki pod drzewami wiły się skrzętnie, wiewiórka skakała po gałęziach, a mały ładniutki burunduk wymknął się ze szczeliny skalnej, i spuścił się ku ruczajowi spragniony. Zapach ziół łączył się z żywicznym zapachem drzew.

W tej dolinie, w domku przypartym o skały, mieszkał Jan Czoborski, kurp, wzięty w niewolę w 1864 roku i zesłany za miłość ojczystego kraju na posielenie do Zabajkalskiego kraju. Po przybyciu do Czyty nie długo pozostał w mieście, lecz otrzymawszy pozwolenie żyć gdzie chce, wyniósł się na brzeg puszczy, gdzie wystawił sobie mały domek i żył z tego, co mu polowanie na dzikie zwierzęta przyniosło.

Zamknięty w sobie, małomowny, nie szukał nawet zbliżenia z rodakami, którzy dzielili los z nim jednakowy, całe tygodnie i miesiące przebywał w puszczy ze swoją tęsknotą i ze swemi myślami. Od czasu tylko do czasu przychodził do miasta, i mieniał skórki zwierzęce na proch, ołów i różne potrzeby do życia. Rodacy znajdujący się w Czycie, chcieli zbliżyć się do niego, lecz on stronił od wszystkich, jakby się ich lękał, nigdy nikomu nie zwierzył się ze swojej przeszłości i unikał wszelkiej z nimi styczności. Po roku pobytu w puszczy dowiedziano się, że Czoborski pojął za żonę młodą Tunguzkę, lecz od tego czasu jeszcze go rzadziej widziano, jeszcze się stał mniej mownym, jeszcze nieprzystępniejszym. Wszyscy dali pokój dziwakowi i nikt się o niego nie troszczył.

Miasto Czyta, leżące w środku zabajkalskiej krainy, stało się od 1851 roku stolicą tego kraju, wielkością dorównywającego całej Francji. Wszystkie domy Czyty są drewniane, rozrzucone tu i owdzie bez porządku; cerkiew jest jedna tylko i także drewniana. Ulice piaszczyste i nie brukowane. Na kilku jej uliczkach, gdzie się tylko zwrócisz wszędzie napotkasz płaszcz i gwiazdkę na czapce urzędnika, szlify oficera, lub szary płaszcz okrywający potulną postać żołnierza. Życie towarzyskie mało rozwinięte; martwota i cisza tu panuje, a życie umysłowe jest tylko w pieluchach.

W miastach moskiewskich najważniejszemi figurami są: policmajster, czyli naczelnik policji miejskiej, sprawnik, czyli naczelnik policji w powiecie, prokurator i sędzia. W Syberji, gdzie arystokracji rodowej niema, urzędnicy ci odgrywają najważniejszą rolę, bo mają władzę i siłę w rękach swoich. Są to ludzie zwykle zepsuci nieograniczoną władzą nad pozbawioną wszelkich praw ludnością napływową Syberji, spędzający życie przy kieliszku i kartach, i marzący o jednem tylko — jak napełnić kieszenie swoje. Niema nadużycia, niema zbrodni, na którą by się nie odważyli, żeby tylko zadość uczynić swoim zachciankom lub dostać pieniędzy.

Najgorszym w Czycie był sprawnik Sokołów, dymisjonowany kapitan, którego życie całe było splotem rozpusty ze zbrodnią. Lubił on żyć towarzysko, pić, hulać, polować, grać w karty, a gdy na to wszystko nie wystarczała mała urzędnicza pensja, nadużywał władzy, grabił, obdzierał kupców, posieleńców, a nawet i zesłanych do ciężkich robót.

Przyjaciółmi jego i towarzyszami rozpusty byli: sędzia Połuszkin, podsędek Chabarow, porucznik Hendrychow za kradzież sołdackich pieniędzy zesłany na mieszkanie do Syberji, Jerszów, były obywatel zesłany za katowanie swych włościan, z których jednego w chwili rozdrażnienia kazał zasiec na śmierć rózgami, kupiecki syn Safjanów, Ławrów i Łabanów dwaj urzędnicy z gubernatorskiej kancelarji, i kozacki oficer Piotrow. Szajka ta piła, ucztowała, ogrywała w karty bogatych kupców, polowała w sąsiednich borach, i była postrachem biednych mieszkańców w powiatu, których większa część stoi po za prawem, bo należy do tych, których dotknęła sprawiedliwość moskiewska. (C. d. n.)

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom drugi.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ X.

Wiktor robi odkrycie.

Na szczęście dla Hamlina, młoda dziewczyna nie zauważała swego mimowolnego chrztu, a tylko powoli poszła ku drzwiom. Jack wystąpił z cieniów między kolumnami i poszedł za nią, przepełniony jakąś trwogą i niejasną tęsknotą.

Już prawie doszła do drzwi, gdy wtem nagle i prędko odwróciła się i szybko cofnęła, przyczem otarła się prawie o Hamlina. Piękne jej oczy spojrzały przerażone i błędne, wiśniowe usta otworzyły się i pobladły, cała jej istota przedstawiała wzruszenie i prawie bezprzytomność. Nie zwracając uwagi na Hamlina, powróciła nazad pod kolumnę i pod pozorem, że chce posłużyć się święconą wodą, starała się oprzeć o kropielnicę, odwróciwszy twarz od światła.

Jack mógł widzieć, jak ręce jej nerwowo uchwyciły się za kamień i sądził, że dostrzega, jak całe jej ciało drży.

Zawahał się na chwilę, a potem podszedł ku niej, nie śmiało i nie z pewnością siebie, jak to było we zwyczaju jego, ale z zarumienionemi jak u młodego chłopca policzkami i bardzo skromnie.

— Czy mogę być w czem przydatnym pani? zapytał z drżeniem. Zdaje mi się, że pani czujesz się niedobrze. Chciałem powiedzieć, że wyglądasz pani jakby osłabiona. Może przynieść pani krzesło? To wskutek gorąca tej przeklętej dziury... to jest, chciałem powiedzieć, że tu bardzo gorąco. Może szklankę wody?... może sprowadzić powóz?...

Tu ona podniosła na niego oczy — i nagle opuściła go przytomność umysłu i zamilkł.

— Wcale nic mi nie jest, rzekła z pełnym godności spokojem, który tak przerażająco na Jacka oddziałał jak poprzednie jej wzruszenie, — nic...— dodała podnosząc na niego oczy tak swobodnie, tak otwarcie, a przytem, jak się zdawało Jackowi tak zimno i obojętnie, iż ten własne swe oczy, zwykle zuchwałe, musiał spuścić, — to tylko gorąco i zmęczenie; teraz czuję się już lepiej.

— Może... zaczął Jack niezgrabnie.

— Dziękuję panu; nic mi nie trzeba.

Zdawała się uznawać, że zachowanie się jej wymaga objaśnienia i szybko dodała.

— Gdym wychodziła, we drzwiach tłoczyli się ludzie i w tłoku tym doznałam jakby zawrotu głowy. Zdało mi się, że ktoś, jakiś mężczyzna, potrącił mnie. Ale myliłam się.

Spojrzała ku wejściu, gdzie jeszcze stał ten mężczyzna o słup oparty.

Znaczenie, jakie słowom tym i spojrzeniu nadała, jeżeli o znaczeniu mogła być mowa, Jack natychmiast pochwycił. Nie czekając aż skończy mówić, szybko poszedł ku drzwiom i ku zdumieniu swemu z gniewem połączonemu poznał w stojącym mężczyźnie Wiktora. Hamlin nie długo bawił się w wyjaśnienia. Jednym pełnym treści wyrazem, jednem zręcznem poruszeniem ręki i nogi powalił go na znajdujące się po drugiej stronie schody, a potem zwrócił się do nieznajomej. Ale i ta prędko nabyła stanowczości. Z żywością wcale niezgodną z poprzedniem jej osłabieniem zauważyła chwilę, w której Wiktor zniknął, ażeby przejść prędko koło niego, i dostać się do powozu, przed kościołem czekającego na nią. Gdy szybko odjeżdżała, podchwycił Hamlin dziękczynne spojrzenie tych cudnych oczu i uśmiech tych nieskończenie pięknych ust... i uczuł się szczęśliwym. Co go to mogło obchodzić, że miał przed sobą wyjaśnienie, być może spór! Sądzę nawet, że to jeszcze podwyższało jego zadowolenie.

Ręka czyjaś położyła mu się na ramieniu. Odwrócił się i ujrzał zagniewaną twarz Wiktora, z wyszczerzonemi zębami i ledwie dyszącego ze wściekłości. Hamlin uśmiechnął się grzecznie.

— Jakto?... jeżeli się nie mylę, to ty, Johnny! zawołał tonem udanej prostoty, — do wszystkich piorunow! a to twoja siedziba? ty i święty Antoni jesteście towarzyszami, co? To rzecz prawdziwie zdumiewająca!... i ja tu ciebie z własnych twoich schodów zrzuciłem, prawda?... A jednak z miny, z jaką tam stałeś, mogłem przecie wnioskować, że to ty. Prawda, Johnny?

— Nie nazywam się Johnny!... caramba! wrzasnął Wiktor z gniewem i niemal od zmysłów odchodząc.

— A! to tak, tak? Może spokrewniony

z Carambami z Dutch Flat? Nie bardzo to piękne nazwisko. Johnny więcej mi się podoba. I na twojem miejscu teraz tu nie rozpoczynałbym skandalu. Dziś nie, Johnny, nie, dziś jest niedziela. Ja na twojem miejscu poszedłbym do domu, i wybił jaką bezbronną kobietę, lub dziecię, żeby wprawy nie tracić. Ale przedewszystkiem poszedłbym do domu. Noża również nie wyjmowałbym, bo mógłbym palce pokaleczyć i mieszkańców przestraszyć. Spokojnie, jak poczciwy dobry człeczyna poszedłbym do domu. A jutro rano poszedłbym do hotelu na najbliższej ulicy i zapytałbym o pana Hamlina, pana Jacka Hamlina, pokój Nr. 29; a potem poszedłbym prosto do jego pokoju i dałbym mu tam taką naukę... taką straszliwą naukę, iż cały hotel krwią by spłynął...

Dwóch czy trzech graczów w monte przyłączyło się do Wiktora widocznie w zamiarze wzięcia strony swego ziomka. Wiktor nie zaniechał w tejże chwili skorzystać z tej pomocy.

— Czyż jesteśmy psy, moi ziomkowie? rzekł cierpko zwróciwszy się ku nim — a ten... ten oto tam... zuchwalec...

Hamlin, mający delikatne ucho na łajanie i groźby hiszpańskie, słyszał to. Ożywiony chór wykrzykników *caramba!* ozwał się na przemówienie Wiktora z gardzieli sprzymierzeńców; jednak było coś widocznego w oczach Hamlina i coś niewidzialnego w Hamlina kieszeni, co znacznie chór ów osłabiło. Zresztą zachowanie się Hamlina okazywało żartobliwe lekceważenie.

— To są przyjaciele pana, jeżeli się nie mylę? zapytał uprzejmie, — a oprócz tego sami Carambowie! co? Może mogliby i oni w towarzystwie pana złożyć mi jutro rano wizytę? A może brak panom czasu i spieszno im? W takim razie, ponieważ pokój mój nie jest dostatecznie obszerny, a panowie czekać nie mogą, to znam tu przestronne miejsce na najbliższej ulicy, Plaza del toro (arena dla walk byków)... co? jak panowie myślą?... Na to ucho jestem trocha tępy.

I pod pozorem, że chce lepiej słyszeć, Jack Hamlin podstąpił ku najbliżej stojącemu, który jednak, — z żalem to wyznać muszę — bezzwłocznie i bez żadnej godności w tył się skoncentrował. Hamlin uśmiechnął się. Ale tym czasem zebrała się cała kupa próżniaków i czuł, że czas jest zakończyć pogadankę, pomimo, że ta bardzo dobroczynnie na humor jego oddziaływała. Więc z pełną godności grzecznością uchylił kapelusz przed Wiktorem i jego przyjaciołmi, przesunął się nieco nieostrożnie koło jego nosa i poszedł spokojnie do oberży, przeciwnikom swym pozostawiając honor utrzymania się na placu boju.

Przyszedłszy do swego pomieszkania, zbudził śpiącego Pete i rozpoczął z nim dysputę religijną, w której, ku wielkiemu przerażeniu sługi, gorąco wziął stronę kościoła katolickiego i po różnych dowodzeniach postawił twierdzenie, że jestto jedyny kościół najwłaściwszy dla człowieka rozumnego. A potem, odstępując nieco od powyższego tematu zakończył zapytaniem, co się dzieje z jego pistoletami.

Tym czasem i Wiktor również rozstał się ze swoimi przyjaciołmi.

— Uciekł, ten najnędzniejszy z łotrów! zawołał, — nie odważył się zostać i przeciw nam wystąpić. Czy widziałeś jego przestrach, Tiborcio? Twoje to męstwo dokonało tego.

— Może on ciebie poznał, mój Wiktorze i stchórzył.

— Naród amerykański, który zawsze jest gotów wysłuchać odwołania się do ludzkiej godności i wolności, sprawił to, że wątroba zmiękła mu jak u kurczęcia, zauważył mężny gentleman, który niedawno tak ostrożnie zrejterował się przed Hamlinem. Uczcij że ten nasz tryumf szklaneczką!

Wiktor któremu bardzo pilno była pozbyć się swych przyjaciół, i który w będącej na widoku aguardiente widział sposobność do wyśliźnięcia się, wspaniałomyślnie poszedł do pierwszego szynku po drodze.

Zdarzyło się przypadkiem, że był to szynk najznakomitszy w miasteczku. Posiadał on właściwe tej kategorji lokalów i niezbędne przymioty, a mianowicie był brudny, ciemny, woniejący i pożółkły od cygaretowego dymu. Ściany jego ozdobione były rozmaitemi litografjami: dwie czy trzy z nich były pochodzenia francuskiego i odznaczały się artystycznem wykonaniem, ale wielce niedostateczną moralnością; więcej było obrazów pochodzenia hiszpańskiego, wykonanych po fuszersku, ale zasługujących na uznanie z powodu ściśle religijnych tendencyj. Dalej wisiał tam portret Santa Anny i jednego z ostatniej rewolucji powodzeniem uwieńcznego jenerała. Był także obraz alegoryczny, przedstawiający genjusza wolności z całą możebną niebieską maszynerją spuszczającego się na meksykańską konfederację. Właściciel lokalu, powodowany widocznie jednakowym zmysłem w poezji i malarstwie, do artystycznego swego zbioru wcielił różnokolorowemi czcionkami wydrukowany plakat amerykański, przedstawiający anioła uzdrawiającego, który rodzinie chorobą nawidzonej, podaje flaszkę jakiegoś uniwersalnego lekarstwa.

W najdalszym kącie niskiego pokoju siedziało około tuzina graczów za stołem nakrytym zielonem suknem, zagłębionych w grę w monte. Na przeciw nich wsparty o ścianę arfista poruszał struny swego instrumentu wydającego żałośne tony. Grający w karty byli najzupełniej obojętni na te tony i wytwarzającego je artystę.

Twarz jednego z grających zwróciła na siebie uwagę Wiktora. Był to ów dziwny angielski tłumacz, gniewny nieznajomy, na którego natknął się był owego wieczora podczas pamiętnej swej wizyty u don Pedra. Wiktorowi było wcale nie trudno poznać go, pomimo że brudny jego i zaniedbany roboczy ubiór zastąpiony był staroświeckiem czarnem ubraniem odświętnem. Nie odwracał on oczu od gry dopóki nie przegrał pięciu srebrnych monet, które przed nim rzędem leżały, — potem mrucząc wstał, skinął głową innym graczom i nie wyrzekłszy ani słowa wyszedł z lokalu.

— Przegrał pięć dolarów, granicę, której nigdy nie przekracza — ni mniej ni więcej, rzekł Wiktor do swego przyjaciela, — dziś nie będzie już grać.

— Znasz pan go? zapytał Vincente zdumiony wszechstronnemi wiadomościami swego towarzysza.

— *Si*, odrzekł Wiktor, to jest szakal, pies amerykański, dodał w nieokreślonym zamiarze odpłacenia nieznajomemu za grubijaństwo jego, poniżeniem jego wartości w oczach innych; — pyszni się on tem, że zna naszą historję, naszą mowę. Jeżeli chodzi o subtelne znaczenie jakiego wyrazu, lub jest jaka wątpliwość co do wyrażenia technicznego — jego pytają się, nie nas. Tak to oni nas traktują, ci kacerze! Caramba!

— Caramba! powtórzył Vincente w niejasnym patrjotycznym zapędzie, po większej części przez aguardiente wywołanym.

Ale Wiktor liczył na rozwiązanie się języka Vincenta dla swoich usług prywatnych.

— Taki to świat, powiedział sentencjonalnie ci Americanos... czy często tu bywasz?

— Czy znasz wielkiego amerykańskiego adwokata, waszego przyjaciela, Artura Poinsett?

— Jezu Chryste! czy bywa! zawołał Vincente z uśmiechem. Ciągle. Zawsze. Wiecznie. Ma tu klientkę, wdowę, młodą, piękną, bogatą, eh!... jedną z własnej jego rasy.

— A! mądry jesteś Vincente.

Vincente słabo po pijanemu uśmiechnął się.

— Ach Boże! to widoczny traf. Doprawdy... tak, tak! wierz mi!

— A ta piękna klientka... kto ona?

— Donna Marja Sepulvida, odrzekł Vincente.

— Czy to być może? Wszak powiedziałeś że należy ona do jego rasy?

— Rozumie się, że powiedziałem. Ona jest Amerykanka. Ale od dawnych lat jest tu. Była bardzo młodą. Gdy Amerykanie tu przyszli, ona była jedną z pierwszych. Była nauczycielką przy dziecku owdowiałego don Jose Sepulvida... i sama była dzieckiem — rozumiesz? Stara historja. Ona piękna, uboga, młoda. Don siwy, stary, bogaty. Ogień i pakuły. Eh! cha! cha! Don, rozumiesz chciał okazać się szlachetnym i z małej Amerykanki zrobił bogatą żonę... Był nawet szlachetniejszym niż zamierzał; gdyż we dwa lata zrobił z donny bogatą wdowę.

Gdyby Vincente nie był nad miarę trunkiem zalany, to musiałby dostrzeć z zniecierpliwienia w twarzy i oczach Wiktora.

— A piękna? zapytał ten ostatni.

— Śliczna, słuszna!... eh! wielkie oczy, cudne usta... zachwycająca! anioł!

— I don Arturo z prawnego doradcy stał się kochankiem?

— Tak mówią, odrzek Vincente, — ale ty, Wiktorze, i ja, to lepiej wiemy! Miłość tak nagle nie przychodzi! Eh! wierz mi! to dawny płomień. Mówią, że niema jeszcze dwóch miesięcy jak był tu po raz pierwszy i pokochała go od pierwszego spojrzenia. Absurdo! Disparatado! Wierz mi, Wiktorze, to był stary płomień; stara ukartowana historja. Ty i ja, Wiktorze już dawniej słyszeliśmy takie romansowe historje. Dwoje ubogich kochanków!... co?... dobrze!... rozdział... zwątpienia... Senorita poślubia bogacza... co?...

Wiktor już od początku zanadto zajął się opowiadaniem swego przyjaciela, ażeby teraz mógł ukryć swe zadowolenie. A więc tu leżała tajemnica! Tu był nie tylko punkt oparcia, gdyż niezaprzeczenie musiała być sama zaginiona Gracja Conroy. W tej młodej Amerykance, tej wdowie, tej klientce dawniejszego swego kochanka Filipa Ashleya trzymał on w ręku tajemnicę trzech żywych istot. Z radości uderzył Vincenta po przyjacielsku po ramieniu i głośno przysiągł, że jest najmądrzejszym z ludzi.

— Musiałem ją widzieć, tę bohaterkę romansu, mój przyjacielu, — powiedział. Być może iż była na mszy.

— Może i nie. Ona jest katoliczka; ale don Arturo nie. Nie często bywa ona na nabożeństwie, gdy on jest tu.

— A dziś?

— Dziś nie.

— Mylisz się, mój kochany Vincente, rzekł Wiktor cokolwiek zniecierpliwiony, — byłem tam i widziałem ją.

Vincent ruszył ramionami, potrząsnął głową i rzekł.

— To być nie może, senor Wiktor; wierz mi.

— Ależ powiadam ci, żem ją widział, odparł Wiktor wzburzony. Ona tam była, pijaku! Koło kolumny. Gdy wychodziła przeżegnała się święconą wodą. Widziałem ją. Wielkie oczy, twarz owalna, suknia i płaszcz czarne.

— Nie mów mi tego, przyjacielu Wiktorze! To nie ją widziałeś. Wierz mi. Ta, co brała święconą wodę to donna Dolores, ona sama. Bo musisz wiedzieć, że niemasz tu nikogo, co by jej miał ją podać. Zastanów się tylko, szalony Wiktorze, ta ma wielkie oczy, małe usta, twarz owalną... ale ciemną... o! bardzo ciemną.

— W ciemnościach wszyscy są szatańskiej barwy, zauważył Wiktor niecierpliwie. Jakże mogłem wiedzieć o tem. Któż ona więc jest? zapytał niemal gwałtownie, jak by chciał walczyć z powstającym w nim strachem. Kto jest ta donna Dolores?

— Jesteś tu obcym, przyjacielu Wiktorze. Więc posłuchaj. Jestto półkrwi bastard starego komendanta z San Ysabel. Przez głupotę tego człowieka stała się ona bogatą dziedziczką! Jest bogata i jeszcze niedawno doszła do posiadania wielkiego, bardzo cennego udziału. Rozumiesz mnie, przyjacielu Wiktorze? No, czego tak wpatrujesz się we mnie? Jestto pustelnica. Małżeństwo nie jest dla niej. Miłość, miłość czuła, słodka, rozkoszna, nie jest dla niej. Ona należy do kościoła mój Wiktorze. I tylko pomyśl, że teraz tą surową pobożną kobietę, tę donnę Dolores Salvatierra, wziąłeś za małą amerykańską kobietkę! cha! cha! Ta sztuka warta jeszcze jednej flaszki! Eh! Wiktorze! przyjacielu mój!... Ależ ty niesłuchasz. Co? chcesz umknąć, zdrajco! Eh! co tam mówisz Bobo? tyś sam Bobo!

Aż do tego ostatniego wyrazu Wiktor stał jak osłupiały przed nim. Czy był wyprowadzony w pole? Czy nie był znowu zawiedziony w wykonywaniu własnej swojej złośliwości? Jeżeli rzeczywiście w tej pobożnej o ciemnej cerze kobiecie, której imię słyszał po raz pierwszy, sądził że poznaje Grację Conroy — to co za szatańska moc spowodowała go tego, by jej z całem przeświadczeniem oddawać w posiadanie sfałszowany oryginał koncesyj? i tak na ślepo zwracać raz już utraconą własność? Czy don Pedro mógł być zdrajcą względem niego? Czy mógł on, czy mogli oni wszyscy — Artur Poinsett, Dumphy i Julia Devarges wiedzieć o tym fakcie, o którym on tylko sam nie wiedział? Czy już teraz nie wyśmiewali go? od tych myśli omal że wściekł się

Z nieokreślonem przeświadczeniem, że jest popchnięty jakąś dziką ręką i że widzi przed sobą jakąś bladą twarz widma, wymawiającą wyrazy bezsilnej złości i dzikiego zwątpienia, Vincent, mądry Vincent wsparłszy się o stół począł powoli przychodzić do siebie. Towarzysz jego znikł. (C. d. n.)

Kartka z dziennika.

Poznałem jedno dziewczątko małe,
Postać anioła!
Cóż kiedy było płoche, niestałe,
Z chmurką u czoła.
A choć oczkami czary rzucało
Szepnę do uszka:
Wdzięki te gasły, bo brakowało
Czucia — serduszka!

Dziewczę bez serca, to głazu sztuka!
Ono nie słyszy
Jak cudze smętnie tętni, jak puka
W samotnej ciszy...
A niech się tylko słówko miłości
Odbije echem.
Ją niby zdziwi i bez litości
Zmrozi uśmiechem!

Ach! dziewczę, dziewczę, cóż z twego lica,
Ustek korali?
Cóż z twoich oczął, kiedy źrenica
Ziębi, nie pali!
I wszystkie wdzięki co dały Bogi
Na cóż się zdadzą?
Kiedy bez serca, na zgubne drogi
Ciebie prowadzą!

A więc dzieweczko nie bądźże głazem,
Usłuchaj rady:
Złączmy serduszka, niech biją razem —
One bez zdrady,
Miłości, czucia, sypną iskrami...
Tyś taka młoda!
Więc na śmierć skazać wołam ze łzami
Szkoda cię, szkoda!

Ale dzieweczka choć niby słucha,
Lecz nie ma wiary,
Bo jej coś z cicha szepcą do ucha
Zwodnicze mary —
A głos ich mamiąc rósł jakby fala
I cóż się stało?
Znów z moich uwag, słyszałem z dala,
Dziewczę się śmiało!

Śmiejesz się? dobrze! Ale dziewczyno,
Wierzaj na Boga!
Zbłądzisz wciąż idąc złudzeń krainą —
Tam śliska droga.
A wpadłszy w przepaść serduszko twoje
Będzie płakało,
Że słuchać rady nie chciało mojej
Że dotąd spało!

Lwów 1877. *Ant. B.*

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

Druga serja.

Wspomniałem w ciągu opisu moich przygód, że raz omało nie padłem ofiarą knowań moich nieprzyjaciół. Załoga zbuntowana odmówiła mi posłuszeństwa, i gdyby nie talizman włożony mi na piersi przez Tsaye daucha przy pożegnaniu, który wysunąwszy mi się przypadkiem w gwałtownym ruchu, gdym pięścią bunt uśmierzał, sprawił na mojej załodze zdumiewające wrażenie, byłbym pozostawiony w małej wioszczyznie z łodziami i bagażami w bezradnej nieczynności.

Doprowadziwszy za pomocą amuletu wioślarzy do karności, dopędziłem na stacji parowiec angielski niosący gubernatora prowincji Pegu, sir Artura Payra, pod którego opiekuńczą osłoną wypłynąłem był z Mandelai. Patron mych łodzi otrzymał groźną admonicję i rozkaz dostawienia do Rangun, pod surową odpowiedzialnością, ładunków jakie mu powierzyłem, a gdy na wpół umarły ze strachu wyszedł z kajuty gubernatora, sir Artur Payr zwrócił się do mnie z wielką uprzejmością i zrobił następującą propozycję:

Jesteś pan pod moją opieką i odpowiedzialnością, z polecenia Jego Ekselencji wicekróla Indyj, do którego wstawił się za panem konsul francuski. Jak widzę niebezpiecznie zostawiać pana na łasce najętych ludzi. Masz dużo nieprzyjaciół, i to czynnych... Nie mogę pana wprost odprowadzić do Rangun, albowiem będąc w tych stronach jestem zmuszony zrobić inspekcję w kilku urzędach administracyjnych, i w tym celu kazałem trzymać w pogotowiu parowiec nadający się wybornie do wycieczek po bocznych odnogach rzeki Irawady. Mamy zwidzieć razem z dyrektorem komór celnych, sir Edwardsem niektóre główniejsze miejscowości, gdzie oczekują nas urzędnicy i poborcy podatków. Objazd taki trwać będzie przeszło tydzień. Na ten cel oddaję panu do dyspozycji kajutę 1. klasy; służba zostanie stosownie umieszczona, a że wcale nie myślę trzymać pana na uwięzi w czasie objazdki mojej po tej Delcie, więc z całą swobodą możesz oddawać się ulubionym polowaniom, do których amatorów nie braknie w moim siostrzeńcu assesorze i w sir B. majorze inżynierji. Co zaś do pani Anquetil, sądzę, że znajdzie miłe towarzystwo w żonie kapitana, która chcąc zrobić małą przejażdżkę jest właśnie na statku. Jakże, zgadzasz się pan z tą propozycją?

Podziękowałem z uniesieniem gubernatorowi za myśl jego, tak zgodną z mojemi życzeniami, a uściskawszy dłoń jego, pospieszyłem zawiadomić żonę o wszystkiem i poczynić stosowne przygotowania. Na drugi dzień pożegnawszy nasze łodzie byliśmy na parostatku angielskim.

Po tym krótkim wstępie, wtajemniczającym czytelnika w okoliczności mej wycieczki do niższego Pegu, będę się starał naszkicować najciekawsze wypadki wrażenia, które z tej podróży odniosłem.

W pierwszych dniach mijaliśmy same mało znaczące mieściny. Statek nasz ze wschodzącą zorzą podnosił kotwicę, dobiegał w rannych godzinach do oznaczonej stacji, i odpływał, aby przed wieczorem stanąć na nocleg, i w ten sposób gubernator mógł mieć dwie audjencje dziennie. Czwartego dnia dotarliśmy do jakiejś znaczniejszej miejscowości. Stałem właśnie na pokładzie rozmawiając z sir Arturem Payrem, kiedy statek dobił wprost miasta Shuaylung. Tłum ciekawych zaległ przystań; w pośrodka grupy ludzi i słoni rozstawionych po drodze, ujrzałem kroczącą jakąś osobistość, w otoczeniu służby dźwigającej sakwy rupji przewieszone przez ramię. Służba zatrzymała się w pewnej odległości; osobistość z licznemi pokłonami zbliżyła się do gubernatora i z nim razem weszła do kajuty, gdzie złożono przyniesione pieniądze. Fizjognomia przybyłego nie była mi obca; próżno jednak mozolił em sobie głowę pytając, gdzie mogłem spotkać się z tym człowiekiem. Gdy po skończonych formalnościach nieznajomy wyszedł na pokład, przystąpił do majora i assesora stojących opodal i wszczął z nimi rozmowę. Z częstych zwracań się w moją stronę, domyśliłem się, że mowa była o mnie, podchodzę i poznaję Shabundera z którym spotkałem się w Segagie. Podaliśmy sobie ręce na powitanie a pan assesor z jowialnym śmiechem zawołał:

— Nic nam pan nie mówiłeś o pożeraczu dzieci!

— Na co? Bylibyście panowie nie dali wiary — odparłem żartobliwie — zresztą chowałem ten kąsek na deser.

— *Goddam!* krokodyl to deser nie łatwy do strawienia — wtrącił major z uśmiechem.

Sir Artur Payr widząc nasze rozweselenie, zbliżył się, i historja pożeracza dzieci musiała być powtórzoną przez Shabundera, który w komiczny sposób przedstawiał moją pozycję, gdym mierzył do duszącego się zdobyczą krokodyla.

Gubernator powinszowawszy mi świetnego czynu zwrócił się do majora i assesora.

— Jak widzę zazdrościcie sławy panu Anquetil! Kiedy tak, czemu się nie staracie pójść w jego ślady! Sir Edwards i ja możemy się dziś po objedzie wybornie bez was obejść.

Naczelnik komory przystąpił właśnie do nas, i nie wiedząc jeszcze dobrze o co rzecz idzie, zawołał potakująco na chybił trafił:

— Jego Ekselencja ma zupełną słuszność.

— Panowie! — dodał gubernator — łódź będzie na wasze rozkazy... o milę ztąd spotkacie krokodyli więcej niż ich zdołacie zabić.. nieprawdaż panie Shabunder?

— *Yes yes* wasza Ekselencjo!

— Ja sam, i to nie raz złapałem się na tę zabawkę, — ciągnął dalej gubernator — no, ale pan Anquetil udzieli swej pomocy i mam nadzieję że ujrzę was ze zdobyczą.

Zaśmiano się, a sir Artur zwrócił mowę do Shabundera.

— Może pan oddać się teraz swoim zajęciom, pod warunkiem towarzyszenia nam przy stole. Gdyby zaś krokodyl przypadkiem dopisał, podzielimy się kawałkiem.

— Nie obawiam się niestrawności — odparł Shabunder z uśmiechem, jak gdyby powątpiewał o powodzeniu wyprawy. Z temi słowy oddalił się wśród niskich ukłonów.

W niespełna kwadrans, łódź i sześciu tęgich wioślarzy czekało na nasze grono myśliwych. Było nas trzech. Assesor strzelał w lot ptaki, chociaż mało był wprawny do strzałów karabinowych; major przeciwnie źle polował na ptaki, lecz zato ze sztucera trafiał na znaczną odległość. Zabrałem jeszcze z sobą Józefa i Luglego, tudzież dwa sztucery i karabin o kulach wybuchających.

Shuaylung leży nad rzeką Irawady w punkcie, gdzie łoże się rozramienia i kilkoma pomniejszemi korytami tworzy Deltę. U stóp samego miasta rzeka ma blisko 1500 metrów szerokości, i płynie przez rozległe płaszczyzny uprawne ryżem, tytoniem, prosem, trzciną cukrową sesame, przy czem wyżłabia głębokie koryto, którego wysokie brzegi dostępne u przystani, są wszędzie bardzo muliste. Była to właśnie chwila odpływu, i łódź porwana prądem mknęła szybko unosząc nas w pół godziny o dwie mile od Shuaylung. Major i assesor usadowieni na samym przodzie, z lornetami przytkniętemi do oczu śledzili zwierzynę. Na raz ujrzeli oba jednocześnie z dwóch stron rzeki, dwa rzędy niby w linję bojową uszykowanych gaviali. Leżały rozciągnięte na brzegu, i zdawały się uspione snem letargicznym, gdyby nie ruch paszcz od czasu do czasu chwytających muchy natrętne, niktby nie przypuścił, że te stworzenia żyły. Skierowaliśmy się ku prawej stronie wiosłując spokojnie, by nie rzucić popłochu między drzemiące jaszczury. Ponieważ byliśmy niżej od nich położeni, przeto musieliśmy mierzyć w samą paszczę i to na bliskie oddalenie. Pierwsza próba zawiodła; wszelkie ostrożności na nic się nie zdały. Zanim przywiosłowaliśmy na strzał, krokodyle niby kłoce drzewa spuszczane na wodę zsunęły się po mule i znikły nieczułe na przelatujące kule.

Obróciliśmy się w drugą stronę. Gaviale na przeciwnym brzegu siedziały spokojnie; snać nie dostrzegły z oddalenia, co się tu działo, ani nie słyszały naszych strzałów. Dla tem większej pewności obciągnęliśmy jeszcze wiosła kawałami grubego płótna, żeby najmniejszego nie sprawiać szelestu. Cóż kiedy fatalizm wdał się, w naszą sprawę. Major i assesor bojąc się by krokodyle przedwcześnie nie uciekły, wystrzelili na znaczną odległość. Usłyszeliśmy szmer potem plusk, i znów na całej linji nie został ani jeden gavial.

Widząc, że tym systemem nic nie upolujemy, zaproponowałem moim kolegom, byśmy nie wiosłowali kierując się wprost do krokodyli, gdyż tem wzbudzamy ich czynność, lecz byśmy puścili się z prądem trzymając się jednej strony, i tak niesieni wodą strzelali do nich w chwili gdy wskakują do rzeki. Projekt mój został jednogłośnie uznany za dobry. Ułożyliśmy się na ławce, lufy oparte o brzeg szalupy, gotowi dać ognia. Pierwsze strzały padły przeznaczone trzem na czele linji rzucającym się w wodę gavialom. Znikły wszystkie.... a przecież każdy znas gotów był przysiądz, że swego nie chybił. Raz jeszcze powtórzyliśmy nasz manewr, wszelako bez lepszego skutku. Tego było już za wiele! — Zanim pomyśleliśmy o powrocie, prosiłem sternika, by skierował do brzegu, z kąd wysłaliśmy pierwsze strzały. Na mule ujrzeliśmy dokładnie trzy strugi krwi, ślad zostawiony przez trzy ranione krokodyle. Ha! nie mieliśmy wprawdzie szczęścia, lecz przynajmniej honor był ocalony...

Rozpięto żagle, i wiosła uchwycone w silne dłonie, popchnęły nas w stronę naszego statku. Major i assesor kryjąc swoje nieukontentowanie, stali na przodzie szalupy uzbrojeni w lornety, i zażarcie śledzili oba brzegi rzeki, czy nie leży gdzie jaki gavial w zamiarze wyzionięcia ducha. Między nich wkręcił się Józef, dumny ze sztucera który z ostentacją przewiesił sobie przez ramię. Ja zająłem miejsce w tyle łodzi, a tuż obok stanął Lugle z moim karabinem nabitym kulami wybuchającemi, i ze szczególną uwagą przypatrywał się ruchowi wioseł.

— Booghuy — rzecze po chwili nachylając się ku mnie — tam, tam, wielki krokodyl!

Wytrzeszczam oczy — lecz nic nie widzę ani na powierzchni, ani pod wodą, która, co prawda, była daleką od przezroczystości.

— Prędko panie!

— To pal, ja nic nie widzę.

Chłopiec nigdy w życiu nie strzelał kulami wybuchającemi – zawahał się na chwilę, w końcu chwycił za karabin zmierzył i dał ognia.

Na podwójny huk wystrzałów, oczy wszystkich zwróciły się na mnie. Józef w którym niezaprzeczenie objawiał się instynkt psa myśliwego widząc wypływający na powierzchnię jakiś kolosalny przedmiot, co prędzej zdejmuje z siebie sztucer opiera go o ławkę i sam wskakuje do wody. Za jego przykładem idzie Lugle uchwyciwszy za zwitek sznurów leżący na dnie łodzi. Jednocześnie sternik daje rozkaz ściągnięcia żagli, wiosła opadają i szalupa skierowana obraca się bokiem. W trakcie tego Józef nie przestając płynąć wyciąga nóż myśliwski i zbliżywszy się do krokodyla poczyna dziobać go z upodobaniem. Lugle nadpłynął ze sznurami, przeciągnął jeden koniec przez środek korpusu potwora, przymocował go, drugi rzucił Józefowi i zanim szalupa zbliżyła się, zabezpieczyli zdobycz swoją wskakując tryumfująco do łodzi.

Gavial był wcale okazały; moje chłopcy spisały się gracko, Lugle dał dowód zręczności, Józef odwagi. Wypróżniłem dno manierki dzieląc ich tęgim haustem koniaku dla pokrzepienia sił po wzruszającej wyprawie. Obsypano mnie komplementami, ponieważ wszyscy myśleli, że honor strzału mnie się należy. Wyprowadziłem ich z błędu, dowodząc moim towarzyszom, że krokodyl musiał być jeżeli nie zabity to przynajmniej raniony przez jeden z naszych poprzednich strzałów, co tłumaczyło, dla czego płynął niesiony prądem. To objaśnienie przypadło bardzo do smaku naszym myśliwym; nie potrzebowali się już obawiać żartów czekającego nas towarzystwa.

— Panie! panie! — zawołał dość głośno Józef, któremu koniak zwykle rozwiązywał język — ja często w Pondychery jadałem krokodyla... Jeżeli pan pozwoli, zrobię sos biały z kaparkami i cytryną.... Ach! pyszne! Słowo honoru!

Myśl była nie zła. Stanął więc projekt którego ofiarą miał paść Shabunder, nie okazujący wielkiego gustu do tego rodzaju przysmaku. Była to doskonała zemsta za lekceważenie naszych zdolności myśliwskich. Program, w który gubernator i sir Edwards mieli być wtajemniczeni, został natychmiast ułożony: Józef miał przyprawić pieczyste, my mieliśmy jeść z niego lub nie podług upodobobania, chwaląc jednakże potrawę. aby zachęcić Shabundera do uraczenia się nią do syta. Gdy mu dobrze zasmakuje, wyjawimy prawdę.

Powrót nasz na statek był przyjęty wiwatami. Józef i Lugle zostali bohaterami dnia. Na brzeg wyciągnięto krokodyla i bawoła, którego w drodze udało nam się jeszcze ubić, i za nim przystąpiono do rozćwiartowania, poszliśmy obejrzeć gaviala, na którym gubernator chciał sprawdzić spustoszenia strzału z mego karabina. Kula wpadłszy prawym bokiem, wyrwała eksplodując otwór na ośm cali średnicy; ciało było w około poszarpane, kość pacierzowa zdruzgotana, a część łusek grzbietnich wisiała oderwana od skóry. Jakem to przewidział, w paszczęce odkryliśmy dwie dziury zpowodowane kulami, które po wyjęciu okazały się większego niż moje kalibru; przedziurawiły one język i umieściły się w górnej części podniebienia, niezaatakowawszy jednakże mózgu. Major lub assesor byli zatem pierwszymi sprawcami przedwczesnego zgonu miłego potwora. Po tych pospiesznych oględzinach Józef dostał upoważnienie przyprawienia filetów krokodylich.

(C. d. n.)

Listy z Niemiec.

II.

(Dokończenie).

Wiedeń w grudniu 1876.

Sezon teatralny teraz dopiero zaczyna kwitnąć. Każdy z teatrów tutejszych wystąpił z szeregiem nowości. Podczas kiedy przedmiejskie teatra kultywują farsy i operetki, o których i wspominać nie warto, dwa tylko teatra: nadworny i miejski wystawiły kilka sztuk nowych, które pod każdym względem zasługują na wzmiankę. Z nowości Burgteatru niezawodnie ma największe powodzenie Riesler i Frommont. O wiele szczęśliwszym pod tym względem jest Stadttheater. Rosena komedja „O ci mężczyzni!“ utrzymuje się zwycięzko jeszcze ciągle na repertoarzu i współzawodniczy z farsą Sardou: „Hotel Godelot.“ Bardzo dobre powodzenie miała tragedja znanego autora Migreifa pt. „Nero,“ która temi dniami po raz pierwszy w tym teatrze była graną. Pod tym samym tytułem napisał inny pisarz dramatyczny p. Wildbrandt tragedję, znaną z przeszłorocznych przedstawień w Burgtheatrze. Utwór Migreifa niedorówna tragedji W i l d b r a n d t a pod względem scenicznego

opracowania, jednak co się tyczy wzniosłego, poetycznego nastroju dykcji, przewyższa on go o wiele. Dla braku miejsca nie możemy obszerniej mówić o tragedji Greifa, i ograniczymy się na skonstantowaniu faktu, że tak publiczność jak i krytyka bardzo ją dobrze przyjęła. Rok rocznie pojawiają się na scenach niemieckich znakomite dramata, mianowicie historyczne, które ze wszech miar zasługiwałyby, ażeby z niemi zazanajomić publiczność polską. Tymczasem nasze sceny nie zwracają na nie żadnej uwagi, tak dalece, że nowsza niemiecka literatura dramatyczna, świetnie reprezentowana przez kilku genjalnych pisarzy, jest tak dobrze jak zupełnie nie znaną dla szerszych kół publiczności. Żeby utwory Laubego, Wildbrandta, Greifa, Lindnera, Weilena i tylu innych, miały mniej zasługiwać na uwagę polskiej publiczności, aniżeli farsy Meilhaców, Halevych i Gondinetów, tego przecież nikt twierdzić nie może, dla czegoż więc brniemy w jednostronnym kierunku farsy, i zaniedbujemy zupełnie kierunek prawdziwej i wzniosłej sztuki dramatycznej. — Entuzjaści Wagnerowscy mają obecnie specjalną wystawę obrazów dla siebie w „Kunstvereinie,“ który zarzucony jest wyłącznie kartonami, szkicami, obrazami olejnemi, akwarelami, sztychami itp. których przedmiotem są li sceny z dramatów muzycznych mistrza bayreutowskiego. *Wigelewaja wagelewija* jaka tu masa bogów, półbogów, olbrzymów, karłów, dziewic romansujących à la Leda, „lindwurmów“ i wiele innych apokaliptycznych potworów. Kartonowi Kaulbacha (scena z Thannhaüsera) należy pierwszeństwo, i nie dziw, ponieważ Kaulbach jest Wagnerem malarstwa, a Wagner Kaulbachem muzyki niemieckiej. Jeden i drugi są powinowaci pod względem nieokreślonej ekscentryczności artystycznej.

P. L. Anzengruber, znany autor kilku znakomitych dramatów ludowych, wydał temi dniami swój nowy romans pt. Schandfleck. Jest to przedruk z czasopisma literackiego „Die Heimat.“ Autor dla swej oryginalności i świeżej werwy, należy już obecnie do najznakomitszych pisarzy niemieckich. Nikt tak jak on nie zna życia i typów ludowych, nikt z taką prawdą i z takiem ciepłem artystycznem nie umie opowiadać dzieje serc wieśniaczych, a znowu z takim urokiem i wdziękiem kreślić na pozór spokojny bieg życia wiejskiego. To też już przez sam wybór przedmiotu, działa p. Anzengruber odświeżająco na niemiecką literaturę. Najnowszy jego romans zaleca się właśnie wszystkiemi temi zaletami. Chociaż krytyka miejscowa dużo zarzuca temu utworowi, to mimo to nie wahamy się powiedzieć, iż większa część tych zarzutów jest wcale bez podstawy i głównie przez zawiść powstała. Anzengruber jest obecnie jedynym i jedynym powieściopisarzem we Wiedniu, który na powszechną zasługuje uwagę. Obiecuje on na przyszłość jeszcze więcej, i z pewnością zajmie pierwszorzędne stanowisko w literaturze niemieckiej.

P. Franzos, znany ze swej nienawiści do Polaków, którą w swych „Obrazkach z Pół-Azji“ tak głośno zamanifestował, wydaje obecnie w Lipsku „Szkice z ghetta podolskiego,“ obrazy obyczajowe z życia polskich żydów. Będzie to niezawodnie wdzięczniejsze pole dla autora do popisu, choćby dla tej okoliczności, że świat żydowski zna wybornie i nie będzie się rozmijał tu z prawdą, tak jak czynił dotychczas w innych swych utworach, gdzie silił się o obznajamianie niemieckich czytelników z życiem ludu i szlachty polskiej. Z przyjemnością konstatujemy, że p. Franzos, jak się zdaje, wskutek energicznego wystąpienia dzienników polskich przeciw jego potwarczym, skandalizującym insynuacjom, ochłonął w swym „kulturowym“ zapale tak dalece, że jedna z najnowszych jego nowel pt. „Posieleńcy“ (die Gezwungenen) nie tylko, że nie jest nam nieprzyjaźną, lecz owszem, przeciwnie podnosi z entuzjazmem nasze cnoty narodowe. Autor bierze w tej nowelli Polaków w obronę przed dzikiem naśladowaniem Moskali, i przyznać mu to trzeba, że z wielkim talentem i siłą artystyczną umie traktować ten przedmiot. Szczególnie opis popa moskiewskiego i procedury przymusowego chrztu na prawosławie, odznacza się drastycznością i porywającą siłą charakterystyki. Nakładem berlińskiej księgarni Hoffmana i spółki, wyszło bardzo szacowne i wielkiej naukowej wartości dzieło pt. „Z życia duchowego zwierząt“ czyli „Państwa i czyny małych“ (Aus dem Geistesleben der Thiere, oder Staaten und Thaten der Kleinen.) Wystarczy wymienić znakomite nazwisko autora tej książki: L. Büchnera, ażeby zwrócić na nią powszechną uwagę. Büchner miał pierwotnie zamiar nazwać to dzieło „Romansem ze świata zwierząt“ i rzeczywiście byłby to bardzo trafny tytuł, jeśli zważymy, jak romantycznie i zadziwiająco brzmi to wszystko, co nam autor opowiada w tej książce. A przecież są to tylko owoce długoletnich i sumiennych badań naukowych człowieka, który zawsze odznaczał się niezwyczajną bystrością umysłu, i w pełnem słowa znaczeniu jest koryfeuszem umiejętności. Że życie zwierząt w rzeczywistości jest zupełnie inne, szczytniejsze i bardziej skomplikowane, aniżeli dotychczas powszechnie mniemano, o tem nikt nie wątpi, kto nie z opowiadania zwyczajnego lub z pism filozoficznych, lecz z własnego spostrzegania lub z pism rzeczywistych i nieuprzedzonych badaczy, miał sposobność zapoznać się bliżej z zwierzętami. Jednak nawet pomiędzy ludźmi należącymi do kategorji ostatniej, mało się znajdzie takich, którzy przypuszczają to bardziej skomplikowane, „duchowe,“ jak się autor wyraża, życie, które jest nawet i najmniejszym zwierzątkom właściwe. Mianowicie o tych „maluczkich,“ traktuje prawie wyłącznie najnowsze dzieło Büchnera. Autor uważał za stosowne zająć się szczegółowo jednym tylko rodzajem zwierząt, przez co uchronił się od błędów powierzchownego badania większej części psychologów zwierząt, którzy zwyczajnie obfitości materjału podołać nie umieją. Wyłącznym przedmiotem badań i studjów Büchnera są tym razem **p a j ą k i**, zwierzątka powszechnie pogardzone, które zdaje się, że są tylko dla tego na świecie, ażeby każdy, kto je ujrzy, obchodził się z niemi brutalnie, płoszył je lub zabijał. Kto jednak obyczaje i czyny tych zwierzątek studjował, ten pomimo ich odstręczającej powierzchowności musi mieć dla nich sympatję.

„Wszyscy badacze — powiada Blanchard — liczą pająki do najinteresowniejszych stworzeń świata. U najdoskonalszych przedstawicieli tego rodzaju, znajdujemy w stosunku do wielkości, wielkie bogactwo organizacji, które do prawdziwych cudów anatomji zaliczyć należy. Wskutek tego posiadają te zwierzęta zadziwiające instynkta, a często inteligencję, która objawia się przez czyny o najwyższej rozwadze.“ „Zachowanie się i usposobienie pająka — mówi znowu Giebel — powinno absorbować najżywszy interes dla siebie. Ogólna pogarda i wstręt przed tem zwierzęciem, są bardzo nie na miejscu. Owszem zasługują pająki pod wieloma względami na podziw i życzliwość. Ruchy ich są szybkie, silne i zręczne; czucie zadziwiająco wielkie; nadto wytrwałość i odwaga w atakowaniu innych stworzeń nie zwyczajna, a ich sztuka w tkaniu prawdziwie artystyczna.“

Najwięcej uwagi poświęcono od dawna sztucznej sieci pająka, którą głównie dla łowienia swej zdobyczy snuje. Pajęczynę uważano, podobnie jak pszczelne komórki, za dowód wrodzonej i instynktem kierowanej właściwości. Jednak nić pajęcza jest o wiele rozmaitsza i jedna od drugiej bardziej różniąca się, aniżeli komórki pszczelne. Każdy rodzaj pająków, a nawet każdy pojedynczy pająk zachowuje przy zakładaniu tkaniny swój właściwy plan, i umie odpowiednio do miejscowości takowy sporządzić, a znowu wedle okoliczności odpowiednio urządzić.

Jedne pająki snują równoległe, drugie znowu prostopadłe siecie. Gatunek tak zwany **m a l m i g n a t t e** przędzie tylko pojedyncze nici po kamieniach i szczelinach, i w ten sposób łowi nawet większe owady. Pająk ogrodowy osnuwa z ziemi wysterczające kamienie. Rodzaje należące do gatunku **S e y t o d e s** odznaczają się nadzwyczaj misternemi sieciami, które zupełnie różnią się od wszelkich innych. Dużo rodzajów nie używa sieci dla łowienia zdobyczy, tylko czyni to pojedynczym sposobem przez skok lub bieg, a nici snuje tylko dla ochrony jaj. Pomiędzy ostatniemi, najniebezpieczniejsze są tygrysowe pająki, które po murach i ścianach biegają. Te zupełnie z chytrością kota rzucają się na swoje ofiary: z początku zbliżają się one zwolna, a następnie skaczą nagle na zdobycz, czasami na odległość dwóch cali. Inne **z i e m n e** pająki tylko w nocy wychodzą na obławę, we dnie zaś ukrywają się w dziurach, które zaopatrują w denka, wedle ich woli zamykające i otwierające się.

Że wszystkie pająki używają swych nici i na inne cele, jak na tkanie sieci, jest rzeczą powszechnie wiadomą. Przedewszystkiem posługują się one niemi dla zaopatrywania kokonów, dla przenoszenia się z miejsca na miejsce, dla spuszczania się z wysoko położonych punktów na ziemię, dla tapicerowania swych pomieszkań, dla chronienia się przed zimnem, głównie zaś dla łowienia owadów. Mniej wiadomą jest okoliczność, że młode pająki z początku bardzo źle przędzą swoje siecie, i że dopiero z czasem uczą się tego, i czem raz bardziej się doskonalą. Ćwiczenie i praktyczne doświadczenia grają tu wielką rolę. Doświadczenie, praktyka i rozmysł kierują pająkami przy wyborze miejscowości dla założenia sieci, tam, gdzie podobno najwięcej znaleźć mogą, ofiar dla siebie. Mianowicie lubią one takie miejsca, gdzie powietrze silniej ciągnie i tym sposobem napędza do sieci rozmaite drobniejsze owady, lub znowu wybierają one sobie takie miejscowości, które się w pobliżu dojrzewających owoców znajdują, które nęcą im zdobycz obfitą. Często zastanawiano się nad tem, jakim też sposobem może pająk, nie mogąc lecieć, umocować sieć swoją przez powietrze na dwóch rozmaitych wysoko położonych punktach? Jednak przy wypełnieniu i tego trudnego zadania, umie sobie to stworzenie radzić w najrozmaitszy i najprzemyślniejszy sposób. Przy niewielkiej odległości, rzuca pająk wilgotną i lepką krzekę, która połączoną jest nicią, na miejsce, gdzie ma zamiar umocować sieć swoją; albo spuszcza się na nici i czeka pomyślnego wiatru, ażeby ten go zaniósł

*

na przeciwległy przedmiot; albo snując nić za sobą, złazi z jednego miejsca na ziemi i potem wyłazi na miejsce przeciwległe i wyciąga nić, dokąd ona nie wypręży się, łącząc przeciwległe punkta ze sobą; po tej pojedynczej nitce snuje drugą, umacniając sobie przejście i to tak długo, dokąd most nie jest zupełnie bezpieczny, potem dopiero zaczyna się właściwa robota: tkanie sieci. Mały artysta robi w tym ostatnim wypadku tak samo jak człowiek. Przy budowie mostu łańcuchowego przez rzekę Niagara nie innej posługiwali się ludzie metody. Puszczono z jednego brzegu papierowego orła, zupełnie w rodzaju tych, jakich używają dla zabawy. Wiatr uniósł go na brzeg przeciwny. Powrozu, na którym ten orzeł był przywiązany, użyto, ażeby inny grubszy powróz przeprawić na drugą stronę rzeki. Ten ostatni służył znowu na taki sam cel i tak przy takim słabym zawiązku powstało olbrzymie dzieło, które podobnie jak pajęczyna, z jednego na drugi brzeg wysnutem zostało. Jeżeli ma się zerwać burza, to pająk nie przędzie sieci. Przeciwnie, jeśli on snuje nici, to znak pięknego powietrza; od dawna też uchodzą pająki za proroków metereologicznych.

Często można widzieć, że sieć obwisa i wiatr nią kołysze, co pająkom wielce przeszkadza i przyjemnem być nie może. Roztropne stworzenie umie sobie i w tym wypadku poradzić. Z sieci zwyczajnie wysoko sytuowanej, spuszcza ono silne nici na ziemię, spuszcza się po nich i przymocowuje je tu na kamieniach, roślinach lub innych przedmiotach. Tym sposobem wypręża się sieć i opiera się w takim stanie prądom powietrza. Postępowanie to ma i swoją złą stronę. Nici przymocowane na ziemi bywają bardzo często zrywane przez ludzi i zwierzęta. Jednak pająk i na to ma środek zaradczy, który świadczy o bardzo wysokim stopniu jego inteligencji. Już stary Gledier opowiadał, iż widział jak pająk, ażeby swoją sieć pomiędzy dwoma drzewami zawieszoną, wyprężyć, spuszczał się po snutej nici na ziemię i ztąd schwycił maleńki kamień, wyciągnął go do góry i u dolnej części sieci tak go umocował, że ludzie mogli przechodzić nie dotykając go. Takie same spostrzeżenie zrobił przed kilkoma laty profesor E. H. Weber znakomity anatom i fizylog. Najciekawszy jednak wypadek opowiedział J. Wood. Jeden z jego przyjaciół miał zwyczaj aklimatyzować pod dachem werandy pająki ogrodowe i przytem badać ich zwyczaje. Pewnego dnia zerwała się silna burza i wiatr dął z ogrodu tak gwałtownie, że pająki chociaż ochronione przez werandę, dużo musiały cierpieć. Przy jednej sieci zerwaną została nić wyprężająca... nawa pajęcza, jak okręt z zerwanemi żaglami, miotaną była przez burzę to w tę, to w przeciwną stronę. Pająk widząc się zagrożonym, nie snuł jednak nici nowych, tylko w zupełnie inny sposób poradził sobie w niebezpieczeństwie. Po nici spuścił się na ziemię, następnie przylazł do miejsca, gdzie leżały kawałki drzewa. Tu przymocował na jednym takim kawałku nić swoją, po wyprężonej nici dostał się napowrót do siebie, ztąd podciągnął do góry ten kawałek drzewa, na którym przed tem był nić umocował i zawiesił go w wysokości pięciu stóp od ziemi u dolnej części swojej sieci. Skutek był wyborny, ponieważ waga drzewa wystarczała, ażeby jako tako wyprężyć pajęczynę, kiedy znowu z drugiej strony było to drzewo dość lekkie, ażeby wiatr mógł niem kołysać i tym sposobem chronić od dalszych spustoszeń domostwa pajęczego. Ten kawałek drzewa był dwa i pół cala długi a ćwierć cala szeroki.

Następnego dnia uderzyła służąca głową o to zawieszone w powietrzu drzewo, tak że ono spadło na ziemię. Po kilku godzinach odszukał je pająk i znowu zawiesił na dawnem miejscu. Kiedy burza zaś ustała, zaczęło skrzętne zwierzę naprawiać sieć nadwerężoną, a kiedy praca została całkowicie ukończoną, zerwało ono nić trzymającą drzewo, które z łoskotem spadło na ziemię.

Podobnie ciekawych, jednak na ścisłem badaniu opartych szczegółów z życia pająków, umie niezrównany autor opowiadać podostatkiem, a czyni on to z takim wdziękiem i taką lekkością stylu, że czytelnik mniema, że ma przed sobą raczej powieść, aniżeli ściśle naukową rozprawę głęboko pomyślaną, a po mistrzowsku przeprowadzoną. Chętnie bylibyśmy jeszcze więcej podali „obrazków z życia duchowego zwierząt,“ gdybyśmy się nie obawiali przekroczyć dozwolonych dla „Listu“ rozmiarów, ktory i tak tym razem jest może trochę za długi. Dzieło Buchnera polecamy najgoręcej polskiej publiczności; przekonani bowiem jesteśmy, że ona znajdzie w niem dużo pouczających i ciekawych rzeczy.

Gr. S...

O potrzebie rozwoju przemysłu małego
czyli drobnego w Galicji

napisał

JAN NEP. Z OLEKSOWA GNIEWOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Zaprawdę, smutne i bolesne uczucie przejmuje na samą myśl, że gdy dawniej po naszych miastach i siołach kwitnęła praca, przemysł i sztuki, których pomniki są prawdziwą chlubą przeszłości, dzisiaj, zaledwie wiek jeden minął, gdyśmy stracili samodzielność, a już gdzie tylko oko spocznie, widzi jedynie straszną ruinę i zaledwie z okrawków wyczytać można o tych dniach lepszej doli.

Garncarstwo i cały szereg wyrobów glinianych, nie są bynajmniej podrzędną odnogą przemysłu nie tylko u nas, ale w którym bądź kraju. Gałęź ta, stanowi bardzo ważny przyczynek do dobrobytu; to też wszędzie prawie udoskonaliła się, nawet tam, gdzie ogół jest mniej ucywilizowany jak u nas. W państwie austrjackiem: Morawja, Czechy, Szląsk, Węgry na śpiżu około Koszyc, nad rzeką Cissą, w okolicach południowych Dunaju, a nawet Dalmacja, mogą się w tym kierunku poszczycić postępową i czasowi odpowiednią pracą. Wyroby gliniane, a wyłącznie fajanse koszyckie, dają tysiącom rodzin środki utrzymania. — Czarne, żółte i czerwone, z bogatą ornamentyką i polewą dzbany, jakoteż inne naczynia z nad Cissy, jeżeli nie wychodzą po za granice kraju, to przynajmniej wystarczają potrzebom w obrębie granic.

Nie mniej na uwagę zasługują wyroby tureckie, surowe, polewane a często nawet złocone, z których muzeum wiedeńskie tak liczny zbiór posiada. Grecja, Archipelag, mała Azja, Egipt, Tunis, Algier, Marokko, którego naczynia o białej prześlicznej polewie i niebieskiej ornamentyce, słusznie są podziwiane na wystawach światowych. Brazylja, Meksyk, Peru, które to wszystkie kraje dzikiemi nazywano; — nie mówiąc już o innych krajach Europy, a nawet o naszej Kongresówce — wszędzie garncarstwo i wyroby noszą cechę znacznego postępu; Galicja jedynie cofnęła się wstecz o kilka wieków.

Kto jednak badawczem okiem przepatrzy pierwotwory glinianych wyrobów po naszych targach i jarmarkach miasteczkowych, musi przyznać, że tylko ożywczej rosy potrzeba, trochę serdecznej i umiejętnej pracy, a nie tylko dla siebie wystarczymy, lecz i sąsiednie kraje będą się u nas zaopatrywać.

Dotychczas, jeden tylko obywatel pojął w całej doniosłości ważność tego obowiązku. — Przed kilku laty byłem sam świadkiem jak w pewnem inteligentno-poważnem i licznem gronie, opowiadano o dziwnej fantazji pańskiej, skupywania po jarmarkach całej Galicji wszelkiego rodzaju garnków, misek, dzbanów i wysyłania takowych najtroskliwiej opakowanych do Lwowa.

Jeżeli ktoś z tego grona, dla którego fantazja ta była tak niepojętą, zwidzi muzeum przemysłowe lwowskie *), spotka się niezawodnie z niespodzianką, ujrzawszy tam te nabytki zestawione w pewną całość. Obok tych pierwowzorów, widzimy tam dziś wyroby garncarskie różnych krajów z prawdziwie artystycznym wdziękiem i gruntowną znajomością techniki wykonane, a których twórcy, może mniej posiadają wrodzonych zdolności, aniżeli nasi Kołaczyccy, Spiłoscy lub Potyliczcy bracia garncarze.

Dzięki tej niezmordowanej pracy hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, obecnie weszła już w życie przy chętnej i dobrze zrozumianej pomocy obywateli tamecznych, pierwsza szkoła garncarska w Kołomyji, do której rząd przysłał uzdolnionego nauczyciela.

Jednakowoż ten unikat, bynajmniej niewystarczy potrzebom kraju; przynajmniej jeszcze dwie takie szkoły, to jest: pod Krakowem i w środku kraju winniśmy otworzyć, jeżeli chcemy osiągnąć prawdziwe korzyści.

A gdziekolwiek myśl ta przemieni się w czyn, tam wkrótce domowa bieda opuści siedzibę i nawet słońce milej przyświecać będzie pracującej rzeszy.

U nas daje się czuć brak wielu rzeczy, a więc nie tylko garncarstwo, jak się takowe zwykle pojmuje—ale wszelkie wyroby z gliny, czyli ceramika, winne być bez straty czasu wskrzeszone.— Przypatrzmy się po całym kraju naszym piecom; nawet w budowlach większomiastowych, które chorują na naśladownictwo zagranicznego komfortu; — jakże te kochane piece wyglądają i jak odpowiadają celowi? Dzisiaj, gdy w każdym innym kraju, mającym pretensję do cywilizacyj, i gdzie człowiek rozmyślnie nie zechce wyrzucać pieniędzy, a co więcej jeszcze warte podkopywać zdrowia, dla tych dobrze zrozumianych warunków, nawet w skromnej chacie wieśniaczej piec kaflowy lub ognisko kuchni takież, nie jest bynajmniej luksusem, ale rzeczą najzwyklejszą.

Ale co tu mówić o piecach i kuchniach kaflowych, gdy u nas nawet dobrze wypalana cegła, przy monumentalnych budowlach należy do rzadkości. Co tam z tego, że przedkilkowiekowe świątynie wykonane przez ojców naszych, jeszcze dziś świecą nam w oczy cegłą i dachówką różnobarwnie polewaną, a są spojone z taką mocą, że w kawał rozbić musisz, a nie wydobędziesz całości. — Byli to jacyś dziwni

*) Znamy jeszcze teraz inteligencję zamieszkałą we Lwowie, dla których muzeum przemysłowe lwowskie jest rzeczą nieznaną.

ludzie, co nie tylko o sobie, ale i o późnej przyszłości myśleli. — Prawda, że nie byli cywilizowani, bo w ich czasach nie znano nawet w społeczeństwie sekty przedsiębiorców, których dopiero cywilizacyjna pora żelaznych kolei — i wiedeńskie krachy zrodziły. — Do tego co robimy w dzisiejszem pojęciu, wystarcza połysk tombakowy, a wyniki rano osiągnięte, giną w atomach zachodzącego słońca.

Że wyroby ceramiczne są na porządku dziennym, a więc mają rację produkcji w kraju, mamy tego codzienne dowody w rachunkach kolejowych, jakie transporta przychodzą rok rocznie z zagranicy. Niedawno temu nawet cegłę ogniotrwałą do omurowania palenisk sprowadzano z Szląska i Morawji, a tysiąc takich cegieł kosztował z transportem do 150 złr. i więcej.

Muzeum przemysłowe lwowskie reprezentuje potrzeby ceramiki wszechstronnie — i te obce okazy tam nagromadzone są strasznem świadectwem o naszej nieruchawości. — Czy jest rzeczą godziwą, aby mając tak obfite pokłady glinek wybornych — nawet mizerne rury do wodociągów i zlewów, kloak i t p. aż z Wiednia sprowadzać i tysiące wyrzucać? — Czy przy takich warunkach mamy prawo sarkać, jeżeli nam nasi wrogowie w żywe oczy niezdolność zarzucają?

A czy pomyśleliśmy o tem, iż możemy się znaleźć w tym wypadku i tak jest rzeczywiście, że przy braku wyrobów glinianych, i nie wydoskonaleniu tychże, są inne gałęzie przemysłu, które dla tego powodu nie mogą być rozpoczęte?

Garncarstwo zresztą i ceramika, w drugiej części swego rozwoju, rozdzielają swą produkcję, oddając znaczny procent tejże w ręce, których zadaniem jest jedynie ornamentyka, do której już potrzeba smaku artystycznego i w tym warunku udzielają bytu obszerniejszemu kołu pracowników. Widziałem nawet bardzo wykształcone kobiety, zatrudniające się ornamentyką ceramiki, która się przyczyniała do utrzymania całych rodzin.

Przy wrodzonych nam zdolnościach i łatwem odczuciu artyzmu, mam przekonanie, że wziąwszy się szczerze do pracy, i na tem polu zrodzi się nie jeden polski Bernard Palissy.

Pomnę, przed czterema laty jechałem przez Jasło; był to dzień jarmarku; na rynku ujrzałem sześć bryk znacznych rozmiarów wyładowanych do niezwykłej objętości i wysokości koszykami, różnej wielkości, kształtów i kolorów, któremi uszczęśliwiały Galicję sąsiednie Węgry. Dowiedziawszy się, że takie transporta bezustannie tamtędy przechodzą, nabyłem później przekonania, że Węgrzy prawie wyłącznie całą Galicję koszykami zaopatrują, a skromny grosz, jaki za tak lichy wyrób wywożą, przynosi rocznie 60,000 zł.

Przemysł ten, jest tak dotykalnem świadectwem, dokąd przy szczerych chęciach dojść możemy, że musi nawet zamknąć usta osobistościom, które są dotknięte chronicznem udarem niewiary w rozwój przemysłu krajowego.

Dwa lata zaledwie upłynęły gdy przy dobrej woli zacnego obywatela dr. Machalskiego, otworzoną została szkoła koszykarska w Sciejowicach, przy nader skromnych środkach materjalnych, a pomimo tego zwróciła już teraz uwagę na siebie nietylko całego kraju, ale w stolicy państwa austrjackiego w Wiedniu, spowodowała niezwykłe zdumienie i pierwsze tameczne powagi na polu wiedzy przemysłowej, musiały głośno wyznać, że lud nasz jest obdarzony nieznanemi dotychczas zdolnościami i łatwością przyswojania sobie technicznej pracy.

W muzeum przemysłowem lwowskiem i krakowskiem, nabywać można te wyroby koszykarskie, za które się nawet żaden salon lub buduar elegancki nie potrzebuje rumienić. Takie wyroby, znane nam były dotąd jedynie sprowadzane z zagranicy po drogich cenach. Przy takich początkach, nietylko że nawet monopoliście świata, Paryżowi, odejmiemy niejednego franka, ale już teraz otwiera się dla niejednej kobiety nowy dział przyjemnego zarobkowania.

Oto i w koszykarstwie jak w wielu innych gałęziach przemysłu, rozczłonkowuje się takowy i tak: koszykarz z profesji przygotowuje tylko skielet czyli koszyk, który przechodzi w drugie ręce; takowe uzupełniają jego przeznaczenie, ubierając podług wymagań przyjętej mody. Przypatrzmy się po sklepach pierwszorzędnych tym rozmaitym cackom, przystrojonym pod nazwą koszyków w barwne jedwabie, atłasy, aksamity, wstążeczki, plecionki, perełki, kwiaty, malowidła i t. p. a pojmiemy, jakie się źródło otwiera dla kobiety, aby zarobić na byt uczciwy i niezależny.

Jeżeli przejdziemy myślą, jakim klęskom podlegają corocznie prawie mieszkańcy nadwiślańscy i innych rzek, dopiero wtenczas pojmiemy doniosłość, jakich dobrodziejstw źródłem stanie się koszykarstwo, a przy niem poboczne odnogi, tego przemysłu domowego. Zapewne nie jednemu z czytelników znane są prześliczne meble robione sposobem koszykarskim, później lakierowane, brązowane; takich przedmiotów znajdzie się więcej.

Oprócz Powiśla, oraz innych brzegów rzek i stawów, które dostarczają surowego materjału czyli łoziny, otwiera się korzystne zużytkowanie, a nakoniec piekąca konieczność, zagospodarowania wydm piaszczystych. Nie jest to rzeczą bynajmniej nową, ale już po wielu innych krajach praktykowaną, gdzie się przydatne gatunki łoziny lub tak zwanego złotaku, jedynie na wyroby koszykarskie na wydmach piaszczystych i innych nieużytkach kultywują.

Przez takie postępowanie nie jedna miejscowość rażąca dziś oko, przestałaby być plagą sąsiednich urodzajnych łanów, które zadyma.

Zdaje mi się, że z czasem udoskonalone wyroby koszykarskie, po zbadaniu potrzeb miejscowych, znalazłyby zbyt na Wschód do Konstantynopola i do Port-Said. (C. d. n.)

TEATR.

(„Wielki człowiek do małych interesów,“ komedja w 5 aktach Al. hr. Fredry (ojca).

Tęgi to człowiek ten pan Jenjalkiewicz, nazwisko jego samo już wskazuje, że wszechstronny genjusz jaśnieje z jego czoła, że nawalnica wielkich myśli kłębi się w jego głowie, oko rzuca błyskawice, a z każdej bruzdy pooranej zmarszczkami twarzy wyziera coś, co wzbudza uszanowanie i imponuje nie genjalnym tłumom. I rzeczywiście, dla pana Jenjalkiewicza żadna rzecz nie jest obcą, pisze ciężko uczone dzieła o konstrukcji strzech włościańskich, medytuje głęboko nad afiszem oznajmującym przybycie menażerji, czy niedźwiedź biały i czarny od jednych praojców pochodzą, a w takim razie jaką sierć miał protoplasta niedźwiedziego rodu, wydaje tajemnicze zapieczętowane rozkazy ekonomom, jak wódz armji detaszowanym dowódcom, zajmuje się *con amore* wielką i małą polityką, a przy tem wszystkiem jest jak to mówią gromadzkim opiekunem wszystkich małoletnich, a jeżeli się da, to i pełnoletnich sąsiadów. Jednak każdy wielki człowiek ma, że użyjemy teutońsko-galicyjskiego wyrazu, jakiś „pech,“ ma go też i pan Jenjalkiewicz i to dosyć sporo. Uczonych jego rękopisów nikt, nawet on sam nie czyta, z medytacji nad niedźwiedziami śmieją się ludziska, ekonomowie mimo zapieczętowanych rozkazów tak gospodarują, że nie ma paszy dla bydła, jego agitacje polityczne mimo znacznych pieniędzy wydawanych na korespondentów robią zawsze fiasko, a na dobitek pupile i pupilki nic nie wierzą w jego energję i robią, co im się podoba. Myślicie jednak, że p. Jenjalkiewicz robi sobie co z tego wszystkiego? Bynajmniej. On tak wmówił w siebie, że jest wielkim człowiekiem, tak zżył się z przeświadczeniem o swoim genjuszu, że te małe niepowodzenia nie odbierają mu humoru. On zawsze pewny siebie, zawsze wszystko przez niego się dzieje, choćby nawet nie wiedział o co rzecz idzie, i każdego zapewnia o swej potędze i energji sakramentalnem „spuść się na mnie.“ Źli ludzie mówią o p. Jenjalkiewiczu, że jest to blagier na wielki kamień, ale kogóż nie dotkną złe języki, według nas jest on rzeczywiście wielkim człowiekiem, tylko w czem się zupełnie zgadzamy z autorem komedji — do małych interesów.

Drugą, równorzędną w „Wielkim człowieku“ postacią jest dawno już wyrosły z opieki pupil Jenjalkiewicza IMĆ pan Dolski. Ze wszech miar ciekawa to figura. Swojego czasu p. Dolski był bardzo burzliwym młodzieńcem, zapalał się łatwo jak iskra, a wtedy ognisty jego charakter nie znał żadnego hamulca. Nieszczęście jednak chciało, że pewnego razu uniósłszy się gniewem, wyzwał najlepszego swego przyjaciela na pojedynek i przyprawił go o kalectwo. Od tego czasu zmieniła się jego natura, siłą woli zwalczył swój charakter, ale za to popadł w drugą ostateczność, stał się nieśmiałym, bojaźliwym, prawie dziecinnym. Pod tą jednak powłoką, jak lawa pod warstwą popiołu, pozostał jego gwałtowny charakter, który od czasu do czasu usiłuje wydobyć się na wierzch i zapanować po dawnemu. Ale ma na to sposób p. Dolski. Mówią, że Orfeusz poskramiał muzyką dzikie zwierzęta, poeta Arion śpiewem wytresował delfina na wierzchowca, tego samego medykamentu używa także p. Dolski przeciw burzącej się od czasu do czasu dawnej swej naturze, z tą tylko różnicą, że miejsce symfonji zastępuje u niego niewinna ludowa piosenka zaczynająca się od słów: „Czegoś oczka zapłakała.“ Jest to jedyna piosnka, którą umie na pamięć i jak tylko zacznie się niecierpliwić, śpiewa dopóty jednę i tę samą zwrotkę, aż gniew przeminie. Niekiedy przedstawia się Dolski jako Jezuita, nie jest nim jednak, jego nieśmiałość nie jest obłudą. Czytelnicy łatwo sobie przedstawić mogą, jak komiczne są charaktery Jenjalkiewicza i Dolskiego, najgłówniejszych postaci w komedji. Bratanek Jenjalkiewicza, Karol, poczciwy hulaka, chłopak serdeczny i wesoły, jest trzecią komiczną figurą, której samo pojawienie się na scenie wzbudza wesołość w całej sali. Inne figury męskie odgrywają role podrzędne i służą do zapełnienia tła. Charaktery kobiece w „Wielkim człowieku“ jak wszystkie, które Fredro odmalował, odznaczają się prawdą i głęboką znajomością serca niewieściego w najdrobniejszych szczegółach. Matylda, śmiała, energiczna, z główką przyzwyczajoną do rozkazywania, jest rażącym kontrastem łagodnej, czułej Anieli, w której wszystkie najpiękniejsze strony kobiecego charakteru w całej pełni jaśnieją. Obydwa te charaktery rzucając wzajemnie światło na siebie, występują dobitnie i przedstawiają obraz skończony. Wszystkie charaktery, które wymieniliśmy, odznaczają się wybornym pomysłem i przeprowadzeniem logicznem, i pełnem zdrowego humoru. Wyjątek stanowi tylko Dolski. Oryginalny ten charakter nie odznacza się jednolitością: w pojedyńczych aktach przedstawia nam się on z coraz to nowej strony, tak, że trudno przypuścić, aby był to jeden i ten sam człowiek. Błąd ten, o ile nam się zdaje, jest wynikiem tego, że autor pragnąc uczynić charakter Dolskiego wielce ucieszny, nagromadził w nim bez mary rozmaite komiczne rysy. Dolski nie jest wprawdzie karykaturą, ale bardzo się do niej zbliża.

Z tego, cośmy powiedzieli, czytelnik domyślił się zaś zapewne, że „Wielki człowiek“ jest komedją charakterów, tak jak większa część sztuk Fredrowskich. Autor zwróciwszy główną uwagę na dokładne i szczegółowe skreślenie charakterów, mniej baczył na artystyczną budowę sztuki i na intrygę. I rzeczywiście

„Wielki człowiek“ chroma pod tym względem. Architektoniki tej komedji nie można ani porównać z mistrzowską budową dawniejszych sztuk Fredry, np. „Ślubów panieńskich,“ rozwija się ona nieprawidłowo i przypadkowo, co jest wynikiem bardzo luźnej intrygi, a właściwie zupełnego jej braku. W gruncie rzeczy nie wiedzieć, o co im wszystkim chodzi, po skończeniu sztuki, każdy zadaje sobie pytanie dla czego Nuna nie poszła za Pompiljusza zaraz na początku sztuki, skoro się nikt temu nie sprzeciwiał. Nowsi pisarze przyzwyczaili nas do skomplikowanej, silnie zawiązanej intrygi, nowoczesna komedja braku jej nie znosi. Jednak mimo braku intrygi, widz z jednakowem zajęciem śledzi rozwój sztuki od początku do końca. Już to samo dowodzi, jak zajmująco i dokładnie przeprowadzone są charaktery osób działających. Do utrzymania widza w ciągłem naprężeniu przyczyniają się niemało niektóre sceny mistrzowsko skreślone, choć nie związane ściśle ze sobą, jako też lekki, zgrabny djalog, upstrzony smacznemi dowcipami. Zakończenie sztuki zanadto raptowne i niczem nie umotywowane, jakoteż niektóre sceny przesadzone, a najbardziej charakter Dolskiego, przechodzący w akcie piątym w zupełną karykaturę, nadają „Wielkiemu człowiekowi“ charakter farsy. W każdym razie sztukę tę położyć należy na granicy między farsą a komedją charakterów.

Przedstawienie „Wielkiego człowieka“ wypadło prawie koncertowo. Pod względem gry oddać musimy palmę pierwszeństwa p. Fiszerowi, który z wielkim humorem i życiową prawdą odtworzył typ Jenjalkiewicza. P. Dobrzański jako Dolski zbierał huczne oklaski, zrobilibyśmy tylko zarzut jego grze, że zanadto wiele jezuickiego pierwiastku umieścił w swej roli. Wybornym był p. Kwieciński w roli uczciwego trzpiota. Na bardzo pochlebną wzmiankę zasługuje p. Zboiński, który grał maleńką rolę starego Totumfackiego Jenjalkiewicza. Utworzył on z niej całość tak skończoną, na jaką tylko niepośledni artysta zdobyć się może. Role kobiece spoczywały w rękach pp. Woleńskiej i Zimajer. Pierwsza grała ze zwykłym sobie wdziękiem, natomiast pani Zimajer goniąc za komicznym efektem, często popadała w przesadę, a nawet rubaszność; zapomniała widocznie, że powinna przedstawić ekscentryczną, ale dobrze wychowaną pannę, a nie pokojówkę. Mimo to nie można jej odmówić, aby nie grała z werwą i przejęciem się. W przeciągu tygodnia przedstawiono „Wielkiego człowieka“ sześć razy zawsze przed licznie zgromadzoną publicznością. Dowodzi to najlepiej, że sztuka podobała się, a inaczej być nie mogło: napisał ją przecież Fredro.

B. Cz.

POGADANKI.

XIX.

„Już się ono spełniło, co pod figurą było; hej, kolęda, kolęda!“ Tym wesołym wykrzyknikiem, wyjętym z pieśni gminnej, wypada powitać pierwsze przedstawienie „Strasznego Dworu“ Moniuszki, które napełnia publiczność teatralną wielkiem zadowoleniem, w chwili, gdy siadam do pisania. Spełniła się mianowicie zapowiedź, że artyści włoscy nauczą się po polsku, zapowiedź, która miała wszelkie pozory figury retorycznej, zwłaszcza gdy daną była w piśmie, mającem zwyczaj obiecywać więcej, niż dyrekcja dotrzymać może, i gdy pierwotny termin trzymiesięczny przeminął oddawna bez jakichkolwiek nadzwyczajnych popisów lingwistycznych ze strony włoskiej części personalu naszej opery. Zdaje się wszelako, że pismo, o którem mowa, wyczerpało już wszystkie dowcipniejsze swoje zasoby przewrotności, polegającej na zbyt liberalnem interpretowaniu ósmego przykazania boskiego, i postanowiło wywieść nas w pole niezwyczajnym rygoryzmem w tej mierze — bo oto afisz zapowiada, że panna Gabbi i p. Tercuzzi będą w istocie śpiewać po polsku! I — o dziwo! — śpiewali oboje po polsku! Odtąd, zaczynam bardziej niż kiedykolwiek niedowierzać *Gazecie Narodowej*, i gdybym w niej wyczytał, że Patti przybędzie do nas i zaśpiewa „Halkę“ w oryginale, nie śmiałbym twierdzić, że wiadomość ta jest nieprawdziwą.

Bądź co bądź, gorliwość śpiewaków cudzoziemskich zasługuje na jak największe uznanie. Język nasz należy do tych, których nauczenie się przedstawia obcemu olbrzymie trudności. Potrzeba bardzo wiele dobrej woli, ażeby je przełamać, ale też publiczność nasza umiała jak zwykle uznać zasługę i oklasków jej nie poszczędziła.

Panna Gabbi i p. Tercuzzi mogą przytem pochlubić się, że są na tej samej drodze, na którą za pomocą naszego języka wstąpił słynny ich ziomek, kardynał Mezzofanti. Z listów Odyńca, niedawno ogłoszonych drukiem, wiemy, że ks. Mezzofanti był kapelanem w Bononii w czasie, gdy tamtędy przechodziły nasze legjony. Mając do spowiadania rannych Polaków, pozostawionych w tem mieście, nauczył się po polsku, i wówczas dopiero odkrył w sobie ów talent lingwistyczny, za pomocą którego z czasem nauczył się przeszło 200 języków.

* * *

Wśród recytatywu w drugiej odsłonie, publiczność zachwycona starannem i poprawnem wymawianiem najtrudniejszych brzmień polskich, podziękowała p. Tercuzzemu hucznemi i przeciągłemi oklaskami. Kto pamięta „braci Czechów,“ urzędujących w Galicji po lat dwadzieścia kilka, którzy nigdy a nigdy nie mogli nauczyć się wymowy naszego *y, dź, ć, ł*, i innych dźwięków tego rodzaju, ten w istocie mógł być zdumionym, że Włoch tak prędko i tak dokładnie nabył czysto polskiego akcentu. Ale należy to już do „uprawnionych właściwości“ kochanych naszych braci z nad Wełtawy, iż ze wszystkich pokrewnych języków łatwym im bywa tylko — moskiewski. Kochani, kochani bracia!

Niepodobna opisać, jak ujmujące wrażenie sprawiała panna Gabbi, w partji córki miecznika. Zdawało się, że „mazuruje“ nieco – ale to właśnie przyczyniało się do podniesienia efektu. Najpierw, Włoszka nie potrafi nigdy wymówić słowa polskiego tak twardo i spiczasto, jak Niemka, albo Francuzka, a następnie, przypominamy sobie wszyscy, że sławna Artôt mawia: *ze trouve, que z'ai froid auzourd'hui*. Co może podobać się Paryżanom, miałożby nie podobać się nam nad Pełtwią?

* * *

Wszelkie uznanie należy się także dyrekcji, za nadzwyczaj staranną i kosztowną wystawę tej relikwji po jedynym prawie kompozytorze polskim. Kostjumy i drobiazgi nawet sceniczne zastosowane były do wieku, w który przeniesiono akcję — jednemu chyba p. Mikulskiemu można by zarzucić, że szpada c. k. koncypisty namiestnictwa, z dwugłowym orłem na wywróconej blaszcze zastępującej „gardę“, nawet u boku najdelikatniejszego papinecika z początku 17go stulecia pojawić się nie mogła. Wszak była to jeszcze era Elżbiety angielskiej — Henryka IV Bearneńczyka, — Chodkiewicza — Żółkiewskich. Toż niedawno przedtem, wychuchani ulubieńcy Henryka Walezego, w pojedynku na szpady, odnieśli po kilkanaście ran od cięcia i pchnięcia! Niechżeby tego kto dokazał takim rożenkiem austrjackim! — Zbroje hussarskie, ubiory służby, stroje szlacheckie i kostjumy pań były wytworne i ile możności historyczne. Na największą pochwałę zasługuje wszakże p. Düll, malarz teatralny, za dekoracje wytrzymujące najsurowszą krytykę, i za pięknie pomyślaną i wykonaną zasłonę międzyaktową Jednem słowem, Lwów miał w czwartek ucztę muzykalno-narodową, za która wdzięcznym jest dyrekcji teatru. Czy w odwet za to szczere i pochlebne dla przedsiębiorstwa uczucie, nie moglibyśmy prosić o jaki — podwieczorek przynajmniej — narodowo-dramatyczny? Np. o kawałek Słowackiego, albo Magnuszewskiego?

Jan Lam.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Historja naturalna ziemiańska podług wykładu profesora W. Jastrzębowskiego w Marymoncie. Warszawa. 1876.

P. Karol Majewski, były uczeń Marymontu i szkoły głównej Warszawskiej, powziął myśl wydawania wykładów początków zasadniczych rolnictwa, historji naturalnej ziemiańskiej i ogrodnictwa podług stanu oraz metody nauczania tych umiejętności w byłym instytucie gospodarstwa miejskiego i leśnictwa w Marymoncie. Historja naturalna stanowi dalszy tom tychże wykładów.

Niemiecka.

— Venezia, die Königin der Meere. Bilder und Schilderungen aus der Geschichte Venedigs von W. Guischard. Mit 8 Bildern von H. Knackfuss. Bielefeld und Leipzig, Velhogen und Klasing 1877.

Jest to szereg z życiem i wielkim powabem skreślonych obrazków i szkiców, odnoszących się do historji Wenecji. Autorka, panna Wilhelmina Guischard, na miejscu poczyniła liczne studja. Dawniejsze jej powieści historyczne, jako to: „Foscari“ „Sprzysiężenie w Wenecji“ były także osnute na tle dziejów tej „królowej mórz.“ Pierwsza jej powieść historyczna nosi tytuł „Die Hunyady.“ W „Wenecji“ autorka porzuca formę powieści historycznej, nie uważając jej za odpowiednią poważnym studjom, które poczyniła nad ukochanym przedmiotem. Autorka nie daje nam wprawdzie historji Wenecji w związku pragmatycznym, lecz szereg prawdziwych perełek z czasów walk bohaterskich Wenecji, niemniej z epoki, w której Wenecja pod względem sztuki bardzo poważne zajmowała miejsce. Rozprawy o Henryku Dandolo, Wiktorze Pisanim, Katarzynie Cornaro, są opatrzone znakomitemi ilustracjami Knackfussa.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura sztuka i nauka.

— Dyrekcja teatru lwowskiego ustanowiła ceny operowe na wszystkie przedstawienia pośmiertnych komedyj Fredry. Publiczność uskarża się na to, i słusznie, bo przecież wystawy nie ma żadnej, więc i kosztów nadzwyczajnych dyrekcja nie ponosi. Całym kosztem jest li tantiema, płacona rodzinie, ale tantiemę biorą i inni autorowie a mimo to cena miejsc nie bywa podwyższaną.

— Na konkursie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem, otrzymał w dziale architektonicznym premię pierwszą w kwocie 266 rubli p. Gustaw Bisans, asystent katedry architektury w lwowskiej Akademji technicznej, za projekt kursalu w zakładzie zdrojowisk w Ciechocinku.

— W minioną sobotę odsłonięto w Krakowie, w kościele Franciszkanów, marmurowe popiersie Jana Kochanowskiego, w obecności prezesa akademji dr. Majera i sekretarza komisji dla historji sztuki prof. Wł. Łuszczkiewicza. Popiersie to zdobi i uzupełnia nagrobek, postawiony temu praojcu poetów polskich z funduszu składkowego, zebranego staraniem kasztelana Fr. Wężyka. Rychła śmierć jego nie dozwoliła mu dokończyć dzieła w sposób, w jakim dokonać je zamierzał. Dokonanie tego, synowie kasztelana powierzyli b. Towarzystwu naukowemu, oddając w tym celu resztę pozostałego funduszu.

— Machiawella „Uwag nad Liwiuszem“ w przekładzie Sozańskiego wyjdzie zeszyt 3ci w Marcu rb. Tegoż autora „Traktat o księciu“ wyjdzie w drugiem wydaniu, ponieważ wydanie pierwsze z r. 1868 wyczerpane.

Księgarnia nakładowa p. Waltera Lambecka w Toruniu wydała Album widoków Torunia. Na pięknie wykonanych 18 tablicach przedstawione są ważniejsze gmachy i widoki tego miasta, tablice połączone z sobą sposobem panoramowym, dodane i polskie napisy, całość oprawna elegancko, słowem jest to piękna pamiątka z naszego kopernickiego grodu.

— Proklamacja królowej Wiktorji, na cesarzowę indyjską, była dla kilku uczonych tego kraju pobudką do wzbogacenia literatury ojczystej kilkoma nowemi dziełami. Z powodu swej oryginalności powinne one i w Europie wzbudzić zajęcie. I tak jeden z uczonych, który jest i znawcą muzyki, opisał w rymach sanskryckich wszystkie ziemie królowej Wiktorji, i skomponował do nich muzykę. Arje wzięte były z muzyki ludowej tych rozmaitych krajów. Oprócz tego wydał jeszcze w bengalskim języku historję Anglji i Indyj, także wierszem i z muzyką, do której arje brał także z krajów odpowiednich. Nakoniec przetłumaczył kilka wierszy z „Owen Meredith“ sławnego utworu obecnego wicekróla Indyj (Lorda Lyttona), i dorobił do nich muzykę. Nabob Lahery napisał takąż liryczną biografję tego wicekróla.

Akademja Umiejętności.

— Dnia 5 b. m. odbyło się posiedzenie komisji językowej pod przewodnictwem prezesa dra. Majera. Przewodniczący zagaił posiedzenie wynurzeniem żalu z powodu śmierci ś. p. Skobla, który z tą właśnie komisją najściślej duchowo był zespolony, jako przewodniczący w niej przez lat trzy niespełna, t. j. od czasu zawiązania się komisji w łonie Akademji. Zgromadzenie wysłuchało tych słów, stojąc, z żywem współczuciem i przejęte czcią dla ś. p. swego prezesa. Następnie prezes dr. Majer, jako obejmujący świeżo przewodnictwo w komisji przywołał na pamięć członków to, co komisja dotychczas za przedmiot swych czynności obrała i nad czem w najbliższym czasie pracować postanowiła, mianowicie, pominąwszy słownik ogólny, w którym na przygotowaniu materjałów jedynie w obecnej chwili poprzestać potrzeba, wymienił jako najbliższe zadania komisji: słownik staropolski, słownik prowincjonalizmów, tudzież szczegółowe słowniki terminologji naukowej. Ze słowników szczegółowych gotowy już jest „Słownik nazw słowiańskich geograficznych“ ułożony przez p. Zarańskiego, o którym obecny na posiedzeniu autor podaje niektóre bliższe objaśnienia; do drugiego referatu słownik ten zostaje oddany drowi. Seredyńskiemu. Członkowie komisji oświadczają się z gotowością rozebrać pomiędzy siebie dzieła, z których mają być robione wyciągi do słownika staropolskiego według spisu bibljograficznego ułożonego przez dra. Wisłockiego, jak również postanowiono powtórnie przypomnieć się pamięci tych uczonych mężów, którzy współudział swój już byli przyrzekli, albo o których jest wiadomo, że podobne materjały gotowe posiadają. Co się tyczy sprawy ujednostajnienia pisowni, którą przed niedawnemi czasy wskutek przedstawień z poza obrębu Akademji poruszono, czyni dr. Wisłocki wniosek, aby komitet „ad hoc“ istniejący w tej rzeczy na nowo się rozpatrzył, i na przyszłem posiedzeniu przedstawił wnioski, co dalej czynić wypada. Wreszcie dr Wisłocki oświadczył swoje zdanie, że „Trzy zabytki języka polskiego“ opracowane przez dra Seredyńskiego zasługują na to, by były wydrukowane.

Praca kobiet.

— Z nadesłanego nam sprawozdania za 1876 rok zakładu rękodzielniczego dla kobiet w Warszawie dowiadujemy się, że z pomiędzy uczennic zakładu które ukończyły kurs rzemiosł, trzy założyły w Warszawie pracownie rękawicznicze, cztery introligatorskie, trzy pracownie kwiatów sztucznych i ośm pracowni sukien damskich. Na prowincji pracownie: rękawicznicze w Radomiu, kwiatów sztucznych w Łomży, Lublinie i Biały; introligatorskie: w Lublinie, Płocku, Częstochowie, Radomiu, Piotrkowie, Kaliszu, oraz inne kobiece warstaty rękodzielnicze (obuwia damskiego, szycia bielizny) — powstały z inicjatywy zakładu. Nadto w Cesarstwie otworzone zostały przez uczennice jego pracownie sukien damskich: w Smoleńsku, Mińsku, Berdyczowie, Białej Cerkwi, Kownie, Dubnie, Białymstoku, oraz introligatorskie w Żytomierzu. W ciągu ubiegłych trzech lat (1874—1876) pobierało naukę w zakładzie 474 kobiet, w 1874 r. 180, w r. 1875 143, w r. 1876 151, prawie wyłącznie z klasy średniej. W ogólnej liczbie 474 znajdowało się: 241 miejscowych, 149 z gubernji Królestwa, 78 z Cesarstwa i 6 z Prus. Panien było 393, mężatek 57, wdów 24. W mowie będące sprawozdanie w końcu zaznacza, że zakład wystąpił do władzy z prośbą o dozwolenie mu utworzenia z własnej inicjatywy „Stowarzyszenia pomocy pracy kobiet“.

Drobny przemysł.

— Czytamy w *Czasie*. W sklepie p. Zaplatalskiego w Rynku głównym wystawione są na sprzedaż koronki wyrobu krajowego. Pochodzą one z Chorówki w powiecie Krośnieńskim, gdzie za inicjatywą, pomocą i pod kierunkiem właścicielki tej majętności pani Łukasiewiczowej, dziewczęta wiejskie zajmują się wyrabianiem wspomnianych koronek, które w niczem nie ustępują zagranicznym i po tej samej cenie u nas sprzedawanym. Zwracamy uwagę na ten początek nowego u nas przemysłu domowego, który należycie wspierany może się stać cennym dla kraju nabytkiem nie tylko pod względem gospodarskim, ale również pod względem obyczajności. Nastręczać ludności wiejskiej, zwłaszcza dziewczętom uboższym zarobek, za pomocą uczciwej pracy dokonywanej pod dozorem i dobroczynnym wpływem znanego zresztą z niezwykłej swej ofiarności dworu Chorkowskiego, to rzeczywista i nie tylko ekonomiczna, ale i moralna zasługa. Wspierać takie usiłowanie tem łatwiej, że nie trzeba na to żadnej ofiary, bo przecież ofiarą nazwać nie można pozbycie się słabości kupowania wyrobów niemieckich, lub francuskich, jeżeli za tę samą cenę również dobre nabyć można wyroby krajowe.

Wystawa paryska w r. 1878.

Francuzi z gorączkowym pospiechem pracują nad wystawą, nie lękając się ani wojny wschodniej, ani robiąc sobie wiele z tego, że Niemcy odmówiły swego współudziału na wystawie. O postępie robót piszą nam z Paryża:

„Na Trocadero roi się od tłumów; w tej chwili planują całe to pole olbrzymie, aby je połączyć z polem Marsowem. Wiadomo, że w r. 1867 wystawa obejmowała tylko pole marsowe; dziś z tem polem łączą także Trocadero, na którem ongi Napoleon I chciał zbudować pałac dla „króla Rzymu.“ Stosownie do wymagań, podzielono wystawę na następujące działy, których wykonanie poruczono osobnym architektom: 1) zbudowanie pałacu na polu Marsowem; 2) rzucenie mostu przez Sekwanę; 3) prace na Trocadero. Architektami są prawie wszyscy ci, którzy w r. 1867 byli zajęci przy wystawie. Pałac na polu Marsowem, olbrzymi budynek, jakiego do tej chwili nie widziano, będzie 706 metrów długi, a 340 metrów szeroki, i w nim zostaną pomieszczone wystawy: sztuk pięknych, przemysłu i maszyn. Zasada, którą przy budowie przyjęto, jest bardzo prosta, i właśnie dla tego umożliwi przegląd wystawionych przedmiotów. Idący wzdłuż, będzie oglądał te same produkty wszystkich narodów; idący w poprzek, znajdzie wszystkie produkty jednego narodu.

Wystawa Sztuk pięknych zostanie pomieszczoną w samym środku pałacu; na ten cel przeznaczono 8 sal olbrzymich. Pierwotnie miało ich być 11, wszelako później zdecydowano się zrobić z trzech piękny ogród, gdzie zwidzający znajdą miły odpoczynek. Nad Sekwaną założono ogrody, długie na 450 metrów, a 250 metrów szerokie. W nich znajdą pomieszczenie posągi, wodotryski, meble ogrodowe. Znawcy twierdzą, żo będą to prawdziwe arcydzieła ogrodów. Na Trocadero będzie się także znajdował ogród olbrzymi, zakończony pałacem przeznaczonym na koncerta i uroczystości. Główna sala w tym pałacu, mająca 50 metrów w średnicy, a 45 metrów wysoka, pomieści 8.000 osób i będzie tak udekorowaną, jak żadna inna na świecie. Z dwóch wież, zdobiących fronton pałacu, będzie przecudowny widok na całą wystawę i Paryż. Mimo że roboty jest bardzo wiele, za 16 miesięcy wszystko będzie skończone, i Francuzi zaproszą na wystawę, jakiej świat jeszcze nie oglądał.“

Odkrycia.

— W majątku ks. Dundakowa-Korsakowa, koło Smoleńska, znaleziono duży kamień granitowy z napisem fenickim. Ciężar tego kamienia wynosi 500 kilo. Rysunki z napisu zdjęte rozesłane były do rozmaitych uczonych paleografów, i nareszcie Dr. A. Alojzemu Müllerowi w Ołomuńcu udało się go odczytać. Brzmi on jak następuje:

„Pomnik (albo granica) Baala.
Tuśmy to wykuli.“

Według zdania uczonych, istnienie tego kamienia w okolicach Smoleńska ma dowodzić iż feniccy handlarze zapuszczali się po Dnieprze aż w te odległe strony, czego dotąd nie przypuszczano, bo żadnych pomników fenickich w tych okolicach nie znaleziono.

— Na Scherbenberg w Siegburgu (w prowincji Reńskiej) zakładają obecnie ogród. Otóż wskutek przekopywania i demolacji odkryto w ziemi bardzo osobliwe wyroby dawnej sztuki garncarskiej. Niedawno odkryto już 13ty z kolei piec garncarski. Znaleziono w nim garnki, na których przedstawione są sceny z Pisma świętego, rysunki, cyfry roku, rzymskie boginie zwycięstwa, cesarz Konstanty, tarcze herbowe Jülichu, Klewy i Bergu itp. i wszystko to wykonane jak najpiękniej farbami i glazurkiem. Naczynia wszelkie sporządzone są z gliny jak najdelikatniejszej. Znalazło się także wiele naczyń robionych według form, jakich podówczas używano powszechnie.

— Z Madras donoszą o odkryciu zajmujących zabytków starożytnych, które jak twierdzą, pochodzić mają z okresu przedassyryjskiego. Wykopano tam skamieniałe zwłoki ludzkie, olbrzymie urny, w których palono zwłoki w czasach przed Brahminami, prócz tego znaleziono niezwykłe naczynia gliniane i najrozmaitsze gatunki sprzętów rolniczych. Rząd w Madras postanowił przedsiębiorcom zajętym wykopywaniem starożytności przyjść z pomocą pieniężną.

Podróże.

— Pułkownik Gordon, który przez trzy lata stoi na czele władz w prowincjach egipskich podzwrotnikowych, powrócił znowu do Kairu, celem wyjazdu do Europy za urlopem. Gordon zaznacza, iż na drogach egipskich widoczny wielki postęp co do możności przewożenia trasportów i w ogóle wszelkiego komunikowania sił. Chlubi się tem, że podróż z nad jeziora Albert Nianza z Mogongo odbył w ciągu dni 15 aż do Chartum, a z tego miasta do Kairu przybył w ciągu dni 25. Wzmiankowana najprzód przestrzeń wynosi 1762 kilometrów, następna zaś do Kairu 1800 kitometr. Pułkownik zwidzał sam jezioro Albert na małej łodzi parowej i przebył niezbadane dotychczas łoże Nilu, aż do miejsca jego wypływu z jeziora.

Wynalazki.

— Dr. Stein, uczony niemiecki, wynalazł podobno sposób fotografowania dźwięków muzycznych. Przyrząd Dr. Steina jest niesłychanie prosty. Uczony ten stawia na strunie skrzypiec w mały otworek zaopatrzoną tabliczkę miki, po za którą ustawia czułą kliszę fotograficzną. Jeśli struna instrumentu pozostaje w spokoju a kliszę w ruch sprowadzimy, to promień światła wdzierające się przez otworek da nam wizerunek struny, to jest prostej wąziutkiej nitki. Jeśli zaś pociągnięciem smyczka strunę wprowadzim w drganie, to równocześnie drgać będzie i tarcza przystosowana do niej, klisza zaś odtworzy nam wiązkę linij krzywych, których suma równą będzie sumie drgań struny.

Nekrologja.

† Franciszek Buloz, właściciel i redaktor znanego czasopisma „Revue des deux Mondes,“ umarł w Paryżu d. 12 stycznia. Karjerę literacką rozpoczął od drukarstwa; był zecerem. Wykształcenie naukowe posiadał mierne, natomiast, jako wydawca, odznaczał się przedsiębiorczością i zręcznością, jaką niewielu poszczycić się może. Charakteru opryskliwego i fantastycznego, kłócił się ze wszystkimi współpracownikami, którzy porzucali „Revue des deux Mondes,“ i po pewnym czasie znów wracali, zwabieni wysokością honorarjów, bowiem Buloz płacił hojnie. Np. pani Sand, za arkusz druku, brała 4.000 franków. Od r. 1870 Buloz, znękany cierpieniem chronicznem, usunął się od kierownictwa pisma, zdając wszystko na syna, który nadał „Revue“ nowy a dla wielu czytelników niesympatyczny kierunek. Franciszek Buloz żył lat 73.

ROZMAITOŚCI.

— Podczas gdy u nas w Europie gründerstwo już się na szczęście ludzkości przeżyło zupełnie, kwitnie ono w Indjach w najlepsze, a co dziwniejsza, tamtejsi bogowie mięszani bywają do tego rodzaju spekulacyj. Jako przyczynę, dla której także ci niebiescy mieszkańcy oglądać się mają za jakimś interesem ziemskim, a nie chcą już być ograniczeni jeno na dochody swoich świątyń, podają ich słudzy tę smutną dla nich okoliczność, że z każdym dniem liczba odwidzających świątynie coraz się zmniejsza, skutkiem czego także ubywają ofiary, stanowiące główną intratę bogów i ich sług wiernych. W tym celu zebrali się w Patna, jednem ze znaczniejszych miast Indyj, trzej bramini, i niby to w imieniu bogów postanowili spieniężyć pewną część skarbów ich świątyni, a potem z otrzymanych tą drogą funduszów założyli dom bankowy. Przemyślni kapłani spodziewają się, że interes ten przyniesie tyle zysków, iż z nich będą mogli bogowie a oraz ich „słudzy" utrzymywać się stosownie do swojego stanu wzniosłego. I rzeczywiście, otworzony bank ten cieszy się nader liczną klientelą, i wielu deponuje w nim mienie swoje, gdyż żywią słuszne poniekąd mniemanie, że żadnemu z bogów przecie nie przyjdzie do głowy dopuścić się defraudacji, na wzór gründerów i dyrektorów europejskich, i umknąć w świat ze skradzionemi pieniądzmi.

— Jeden z korespondentów zagranicznych opisuje Carogród, jak on się widzowi przedstawia podczas urzędującej tam konferencji, w ten sposób: Od kilkunastu dni żyjemy tutaj — pisze on — jak na brzemiennym w płonącą lawę wulkanie, co dzień czujemy się bliżsi chwili strasznego wybuchu, a wyczekiwanie to działa przerażająco na stosunki miejscowe. Giełda straciła zupełnie głowę i popadła w bezprzykładną nieporadność; konsolidés'y spadły na 10 piastrów i prawdopodobnie obniżą się jeszcze więcej. Nowe nasze pieniądze papierowe, kaimes, na wieść o nowej tychże emisji straciły na wartości o 12 procent. Kto tylko może, opuszcza stolicę, tylko jedni Moskale grają dalej swoją komedję starą, pakując i rozpakowując znowu swoje tłumoki podróżne. Moskiewskie statki stoją na Bosforze, gotowe bezustannie do odpłynięcia, z Odessy oczekują co chwila przybycia parowca, który zabrać ma rodzinę posła i jego przybocznych. Nawet dzieci moskiewskie, odwidzające tutejszą szkołę niemiecką, zapowiedziały wystąpienie swoje. Co do Ignatjewa, to ten udaje zawsze, że się nie boi, i uśmiechnięty słodko, okazuje całemu światu, iż pewny siebie do zbytku. Odwiedza bale i wieczory jak dawniej, ugania sam po ulicach Carogrodu, jak gdyby on leżał nad Newą lub był już stolicą cara bizantyńskiego, i nic sobie z tego nie robi, że Turcy iskrzącem od gniewu i nienawiści okiem patrzą na niego i jego komedję kuglarską. Miasto samo tonie w błocie i kałużach, skutkiem deszczu, który począwszy od ogłoszenia konstytucji, szerokiemi potokami rozlał się na krainę Ottomanów (jak wiadomo urzędowa to obecnie nazwa poddanych padyszacha, monarchy konstytucyjnego). Pluta panuje ustawicznie, a tem nieznośniejsza, że w połączeniu z gradem i śniegiem na przemian. Ulice przedstawiają widok formalnych rzek, na prowincji powodzie sprawiły wiele szkód, powywracały słupy telegraficzne, przerwały w wielu miejscach komunikację. Szkaradne to powietrze dokuczyło wszystkim tak srodze, że nawet wierni Muzułmanie, zwykle obojętni i stoiczni w takich razach, obecnie co chwila wołają: „Przestań, Allah, z Twojem „rachmet" (błogosławieństwo), gdyż to „rachmet" jest już nam „sachmet" (męczarnią). Całe to powiedzenie jest grą słów, gdyż obydwa wyrazy różnią się w pisowni tylko jednym punktem nad początkową literą. Otóż podczas takiego to rachmet-sachmet zaskoczył „wiernych" Kurban-Bajram. Rozpoczął się on w siedmdziesiąt dni po pierwszym, tak zwanym cukrowym Bajramie. Turecki kalendarz naznacza go na 10ty dzień miesiąca Silhidje, kończy się zaś 15go. Tegoroczny Bajram ciężki dla Turków, cięższy nawet, niżeli był pierwszy, który miał na sobie wszystkie znamiona złych czasów. Kurban Bajram jest świętem, przypominającem przerwaną ofiarę Izmaela ze starego testamentu W biblji figuruje wprawdzie osoba Izaaka pod nożem ofiarnym Abrahama; atoli Koran, chcąc być oryginalnym, wybrał Hagara zamiast Izaaka. Stosownie do świętych przepisów, Kurban Bajram wymaga tych samych obrzędów zewnętrznych, jak pierwszy Bajram. Wszystka praca w czasie jego ustaje. Biura wysokiej Porty są przez cztery dni zamknięte; wierni bawią się, tańczą i weselą, a nawet kobietom koran pozwala podczas tego święta na większą swobodę i wolność. Najgłówniejszą różnicą pomiędzy tym a pierwszym jest zabijanie jagniąt. Nieprzeliczone stada owiec i kóz spędzają z Anatolji i Rumelji, do stolicy, gdzie biedne stworzenia giną pod nożem; ilość ich szacują na 200.000 sztuk. Sam sułtan dawał zawsze własnoręcznie przykład wiernym wyznawcom proroka. Wczesnym rankiem wyjeżdżał on ze świetnym orszakiem z Dolmabagdże do Starego Seraju. Tam oczekiwali nań zgromadzeni najwyżsi dostojnicy państwowi, świeccy i duchowni, i z padyszachem na czele wyruszali do meczetu Zofji. U bramy wchodowej tej wspaniałej świątyni stały na ten cel przygotowane trzy jagnięta, przystrojone w rozmaite świecidełka. Jedno z nich zabijał sam sułtan, i jak dawniej działo się to dosłownie. Dziś już inaczej a zabijanie zastąpiono tylko symbolem. Jak tego roku naprzykład, to wprawdzie Abdul Hamid wziął nóż w rękę, atoli poruszył nim tylko w kierunku piersi ofiarnego zwierzęcia, i nawet go nie zadrasnął; jak powiadają, jagnię to ma jeszcze długie wesołe dni przed sobą w wybranem towarzystwie cesarskich wychowańców ze świata zwierzęcego. Inni Turcy są jednak mniej krwiowstrętni, i każdy z nich rzeczywiście zabija owcę, jagnię lub nawet wołu, a gdy któremu zbyt wiele mięsa z ofiarowanego Allahowi zwierzęcia, darowuje reszkti biednym. Noc, poprzedzająca pierwszy dzień Kurban Bajramu, należy do siedmiu świętych nocy mahometańskiego roku. Co do tegorocznego Bajramu, to mówiąc ogółem, był on bez porównania gorszy od przeszłoletnich.

— Pewien bogaty kupiec, który od niejakiego czasu zarzucił był zupełnie interes przedtem prowadzony, a postanowił w spokoju spożywać nagromadzone w obfitości dary boże, był przed dwoma laty na kąpielach w Wiesbadenie, i tam poznał młodą piękną chórzystkę, dla której serce jego, mówiąc nawiasem już wcale nie młode, rozgorzało młodzieńczym płomieniem miłości. Pakt przyjaźni zawarto szybko po bliższem poznaniu, i po szczęśliwie odbytej kuracji, zabrał zyskaną przyjaciółkę, i wrócił z nią do swojego domu. Tu był tak nieroztropny, że przyjaciołom swoim i znajomym przedstawił ją, jako swoją żonę poślubioną podczas podróży za granicą, a piękna chórzystka, trzeba jej to przyznać, potrafiła ze znakomitem zrozumieniem rzeczy grać rolę gospodyni domu. Atoli po niejakim czasie za mało jej tego było, i zapragnęła uzyskać prawa legalnej małżonki i gospodyni. Kupiec jednak był w tej mierze zupełnie przeciwnego zdania, i okazywał widoczną a niepokonaną odrazę dla słowa „ślub." Tymczasem zręczna osóbka umiała nim tak pokierować, że stopniowo zapisał jej cały swój majątek a nawet dom, w którym mieszkali. Teraz dopiero wystąpiła sprytna kobieta stanowczo. Nasamprzód wypowiedziała mu mieszkanie, i on chcąc nie chcąc musiał się zabrać z własnego domu. Następnie spożytkowała przysługujące jej prawo do reszty majątku, i nie dawała odtąd ani szeląga nieszczęsnemu starcowi. W ten sposób bogaty dawniej właściciel domu stał się czynszownikiem, a opływające pierwej w dostatkach, teraz skazany był na brak nie tylko dawnych wygódek, ale nawet dostatnich środków utrzymania. Co zaś najbardziej go dręczyło, to drwiny przyjaciół, którzy śmiali się zeń wprost w oczy, że pozwolił „żonie wysadzić się w powietrze." Po niedługim namyśle postanowił w końcu starać się o rękę swojej „żony", a ta „z łaski i litości" przyjęła go, wnosząc mu jako posag, dawny jego majątek. Wesele odbyło się wkrótce potem w cichości przed światem całym.

— W nocy z 17 na 18 grudnia r. z. spalił się w miasteczku Romanowie na Wołyniu, pałac niegdyś Ilińskich, dziś hr. Steckich. Ogromny ten pałac trzechpiątrowy, wzniesiony przez hr. Augusta Ilińskiego, ulubieńca cesarza Pawła I, zawierał w sobie 123 pokojów i wspaniale urządzoną kaplicę. Co ważniejsza jednak, że mieścił mnóstwo rzadkich starożytnych pamiątek, tak, że można go było uważać za muzeum. Między innemi były tu meble Ludwika XVI. Oprócz tego mieściła się tu piękna galerja obrazów, złożona z najznakomitszych dzieł szkoły włoskiej, mnóstwo rzeźb i posągów, duża bibljoteka, zwierciadła niezwykłej wielkości, z których jedno blisko 10 łokci długie, porcelana sewrska, wyroby z bronzu, i mnóstwo najrozliczniejszych i artystycznych drobiazgów. Szczęściem, że gdy ogień się pokazał, powietrze było spokojne, tak, że zdołano po większej części cenne te zabytki wyratować, acz wiele bardzo popsuto i połamano. Ale za to freski pałacowe, kolumny i ściany mozaikowe, wszystko to stało się pastwą płomieni. Pałac ten, okrom znaczenia pod względem archeologicznym, miał ogromną wartość, ceniono go więcej niż cały majątek Romanowa, złożony z ośmiu wsi. Straty wynoszą około miljona rubli. Z upadkiem pałacu upadło i znaczenie Romanowa na Wołyniu.

— Dawniejsza pogłoska, że syn Khedywego, naczelny wódz armji egipskiej w wojnie z Abissyńczykami, dostał się w ręce nieprzyjaciół, sprawdziła się teraz co do joty, przyczem okazało się, że cesarz Jan Abissyński skorzystał był zręcznie z tego zdarzenia, by zrobić dobry interes. Mianowicie zażądał on od Khedywa za dostojnego jeńca 200.000 talarów Marji Teresy jako okup. Oczywiście sumę żądaną wypłacono mu niezwłocznie, co jednak tak miało ucieszyć spekulacyjnego monarchę, że zapomniał popatrzeć na srebrne sztuki, ażali wybity na nich rok 1780. Nieuwaga ta przecie do wybaczenia, bo wiedzieć trzeba, że 200.000 talarów Marji Teresy znaczą w Abissynji tyle, ile u nas 20 miljonów talarów. A zresztą sumka ta okrągła dostać się miała w całości do obszernej kieszeni cesarskiej. Atoli co nie do wybaczenia, to lekkomyślność, skutkiem której nie przekonano się przy odbiorze o wartości otrzymanej monety, wnet bowiem skonstatowano ku przerażeniu i boleśnemu odczarowaniu, że przynajmniej dwie trzecie części sumy było monet fałszywych. Następstwem tego dalszem, że obecnie mieszkańcy Szoy nie przyjmują talarów od Abissyńczyków. Ta jedna tylko myśl osładza trochę cesarzowi Janowi zawód srogi, że zanim wypuścił był jeńca, spłatał mu nader bolesnego figla: kazał wypiętnować mu na ramieniu symbol chrześcijański, krzyż, który dla muzułmanina jest najwstrętniejszym na świecie znakiem.. Wprawdzie rządzące sfery w Egipcie robią z tego piętna „une blessure glorieuse," mimo to tysiące myślą inaczej i z tajoną niechęcią patrzą na syna wicekróla.

— Dnia 13. stycznia przyjechała do Paryża i stanęła w jednym z hotelów przy ulicy Rivoli, miss Cora Dickson, którą życie awanturnicze zrobiło głośną w Ameryce południowej. Miss Cora znudzona jednostajnością domową, porzuciła rodziców w 15tym roku i wzięła z sobą 200 funtów sterlingów na drogę. Ażeby zgubić wszelki ślad za sobą, obcięła włosy, przebrała się za chłopca i rozpoczęła życie awanturnicze. Jakiś czas była ajentem handlowym, potem handlarzem koni, nareszcie w Buenos Ayres zaciągnęła się do wojska, i po kilku szczęśliwych wyprawach została mianowana pułkownikiem. W maju roku ubiegłego, podczas zabawy w gronie oficerów, młody „pułkownik" wszczął sprzeczkę z jednym ze swoich kolegów. Przyszło do pojedynku, w którym pułkownik zastrzelił przeciwnika. Z papierów nieboszczyka przekonała się miss Cora, że zabitym był jej brat, który wyemigrował, gdy ona miała zaledwie dwa lata. Skruszona wróciła do Europy, aby u nóg rodziców błagać o przebaczenie. Miss Cora Dickson ma dziś lat 22, a drobna jej figurka i łagodny wyraz twarzy, nie pozwalają domyślać się w niej tak krwawej awantury.

Od Redakcji.

Prosimy o rychłe odnowienie przedpłaty.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).